

W numerze: WIECZESŁAW SOBIESKI *Tej ziemi cena i wartość* • WLADYSŁAW RYMKIEWICZ *Miłość na sprzedaż* • MARCIN HERT *Było ich więcej niż stu* • Turniej czytelniczy **ZMS** • *Zewsząd o wszystkim* • Konkurs • Nowela kryminalna

odgłosy



1. XI. 1970 r.
44 (676)
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

JAN BĄBIŃSKI

Atom w łódzkiej pracowni

Król węgla jeszcze się trzyma. Ani mu w głowie zdjąć przesławnej korony z czarnych diamentów. Jego poddani to śmietanka narodu. Przodkowi górnicy. To na nich spada blask królewskiego tronu, bo stoją najbliżej korony i kiesy. Król węgla siedzi mocno w siodle i jak na razie ani myśli z tonu spuścić. Tymczasem przyszłość wcale dlań różowo się nie rysuje. Wyraźnie groźni konkurenci i zaczynają deptać mu po piętach. Ropa pierwsza zachwiała niewzruszoną, zdawałoby się, pozycję węgla. Co jeszcze groźniejsze, do decydującego szturmu gotuje się atom.

Poziom gospodarki jeszcze do niedawna mierzono ilością węgla, prądu i stali. Wskaźniki to mocno już niepewne. Stal stali nierówna. Ilość o niczym jeszcze nie świadczy. Nie da się stali mierzyć tylko tonami. Tak jak nie da się mierzyć produkcji samochodów statystyczna tylko ilością. Trabant to nie mercedes, syrenka nie cadillac. Tony i tysiące to często jednakowa miara dla całkowicie różnych rzeczy. Mogliby coś o tym powiedzieć technicy z Nowej Huty, którzy mordowali się długie miesiące nim opanowali produkcję licencyjnych blach dla licencyjnego fiata na Zeranii. Po wtóresą już tworzywa od stali znacznie lepsze. A co do węgla rozjaśniło się już prawie całkowicie. Można się wybornie obejść bez niego, jeśli ma się ropę. Ropa jest tańsza i wydajniejsza. Jej wydobycie nie wymaga też obłędnych miliardowych inwestycji, które trwają latami i amortyzują się zwykle dopiero w następnym pokoleniu. Jakaż karierę robi Libia na ropie. Kraj uważany niedawno za jeden z najbardziej zacofanych ma dziś ponad 1000 dolarów dochodu narodowego na głowę ludności rocznie (my — 770 dolarów).

W najwyższej natomiast cenie jest, jak przed laty, energia elektryczna i nie jej absolutnie nie zagraża. Przeciwnie, jej

Fot.: W. Parys

Dalszy ciąg na str. 4

TERESA WOJCIECHOWSKA

Święto Chopina

ESTRADA FILHARMONII NARODOWEJ PRZEZ TRZY TYGODNIE UDEKOROWANA BYŁA 29 FLAGAMI PAŃSTWOWYMI. TYŁE KRAJÓW REPREZENTOWA-

ŁO 80 UCZESTNIKÓW VIII MIĘDZYNARODOWEGO KONKURSU CHOPINOWSKIEGO. TA SAMA LICZBA PAŃSTW CO PRZED PIĘCIOMA LATY, MNIEJ WIĘ-

CEJ TA SAMA LICZBA UCZESTNIKÓW. POPULARNOŚĆ I WAGA POLSKIEGO KONKURSU PIANISTYCZNEGO W ŚWIECIE JEST JUŻ USTALONA. NALEŻY ON DO NAJPOWAZNIEJSZYCH IMPREZ TEGO TYPU. ZDOBYCIE NAGRODY OTWIERA DROGĘ DO ŚWIATOWEJ KARIERY. O TYM WIEDZĄ MŁODZI PIANIŚCI.

Można bez przesady powiedzieć, że Warszawa żyła tym Konkursem, że przeżywała go. Zainteresowanie publiczności było większe chyba tym razem niż kiedykolwiek. Trudno nawet powiedzieć, że miejsca w Filharmonii były szczelnie wypełnione. Wypełniona była cała powierzchnia sali. Na wie- lu krzesłach siedziały po dwie oso-

by, zajęte były wszystkie miejsca stojące, młodzież obsiadła schody wiodące na estradę. Wysiłek wielu osób, którym nie udało się dostać choćby wejściówki, skierowany był na jak najmisterniejsze oszukiwanie władz porządkowych, strzegących wejścia do gmachu Filharmonii Narodowej.

To były uroczyste dni dla Warszawy, o Konkursie mówiło się, dyskutowało wszędzie. A przecież wydaje się, że w tym roku organizatorzy uczynili mniej dla jego popularyzacji w kraju. Imprezę relacjonowali niemal wyłącznie dziennikarze warszawscy, zawiódła Telewizja. Dwie czy trzy półgodzinne audycje, krótkie informacje w dziennikach telewizyjnych i koncert finałowy — to stanowczo za

mało. Oczywiście, Konkurs Chopinowski to nie Festiwal Opolski czy Sopocki, a tym bardziej mecze sportowe, na które nigdy na antenie telewizyjnej czasu nie brak, ale przecież TV dysponuje już dwoma kanałami i przynajmniej w drugim programie można było Konkursowi poświęcić trochę więcej miejsca, transmitując przynajmniej przesłuchania popołudniowe od drugiego etapu poczynając. Nie zadbali też organizatorzy o rzecz niby drobną, a popularną — okolicznościowy datownik, a przecież dział „Chopin” jest w filatelistyce pozycją bardzo bogatą.

W sumie największą rangę na-

Dalszy ciąg na str. 3



Rzadko zdarza się możliwość ucieczki od głównych problemów międzynarodowych do wydarzeń o lokalnym wprawdzie zasięgu, ale nader interesujących. I choć również w bieżącym tygodniu komentarza wymagają tak zasadnicze fakty, jak np. zakończenie jubileuszowej części sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ, czy też spotkanie Nixon — Gromyko — zaczniemy od innego tematu: WYBORU SOCJALISTY SALVADORE ALLENDE, określanego przez prasę północnoamerykańską mianem „niebezpiecznego marksisty”, PREZYDENTEM CHILE. Uzyskał on w wyborach największą liczbę głosów: 36 proc., a w sobotę otrzymał poparcie większości kongresu. Tak więc od 3 listopada prezydentem Chile będzie kandydat Frontu Jedności Ludowej, człowiek znany ze swego programu postępowych reform.

Ostatecznie zwycięstwo Allende towarzyszyły dramatyczne wydarzenia. Oto, wbrew tradycjom tego kraju, dokonano zamachu na generała Rene Schneidera, dowódcę armii chilijskiej. Kto i dlaczego chciał usunąć Schneidera z widowni politycznej? O odpowiedź nie trudno. Po wyborach prezydenckich, które miały miejsce 4 września, oświadczył on jednoznacznie, że chilijskie siły zbrojne nie wystąpią przeciwko Allende, jeśli taka będzie decyzja kongresu. Skrajna prawica przypuściła w związku z tym natychmiastowy atak. Kiedy nie przyniósł on rezultatu, choćby w formie rezygnacji Schneidera ze stanowiska dowódcy sił lądowych, podjęto próbę zamachu. Był to zatem — jak określił sekretarz generalny KP Chile, Luis Corvalan — jeden z przejawów spisku ultraprawy chilijskiej, sprzymierzonej z wywiadem amerykańskim, który miał nie dopuścić do objęcia władzy przez Allende. W Chile wprowadzono stan wyjątkowy, w zakładach pracy i instytucjach wyczuwa się stan dużego podniecenia, ostro potępia się zamachowców.

Siłły prawicy niepokoi przede wszystkim program Allende, który przewiduje m. in. pełną nacjonalizację przemysłu miedziowego i naftowego, łączności i towarzystwo ubezpieczeniowych, a więc dziedzin, które mają żywotne znaczenie dla kraju.

Prasa argentyńska podaje, że miasto Mendoza, z którego samolotem zaledwie 1,5 godziny lotu do Santiago, stało się bazą wielu uciekinierów z Chile, którymi są przede wszystkim właściciele wielkich przedsiębiorstw.

Kto i dlaczego chciał więc, wbrew woli społeczeństwa, uniemożliwić przejęcie władzy przez Allende — nie pozostawia wątpliwości.

A teraz powróćmy do głównego nurtu wydarzeń międzynarodowych. Jak już wspomnieliśmy, zakończyła się właśnie jubileuszowa część sesji Zgromadzenia Ogólnego i to ZAKOŃCZYŁA PRZYJĘCIEM DEKLARACJI 25-LECIA ONZ, zatwierdzonej 127 głosami członków organizacji.

Dokument ten:

- potwierdza oddanie członków ONZ, dla idei, zawartych w Kartie Narodów Zjednoczonych,
- ocenia wkład ONZ, w ustanowienie międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa,
- zapowiada wzmożenie wysiłków w celu rozwijania przyjacielskich stosunków międzynarodowych,
- wyraża wolę państw członkowskich podejmowania konkretnych kroków w dziedzinie rozbrojenia i rozwoju gospodarczego wszystkich regionów świata,
- wzywa rządy aby położyły kres wyścigowi zbrojeń,
- uznaje walkę narodów kolonialnych o prawo do samostanowienia jako uzasadnioną,
- ostro potępia politykę aperttheidu, która jest zbrodnią przeciwko godności ludzkiej,
- popiera walkę przeciwko wszelkim formom łamania praw człowieka,
- wyraża przekonanie, że postęp gospodarczy i społeczny jest konieczny dla zachowania pokoju i że zdobycze nauki powinny być wykorzystane dla dobra wszystkich społeczeństw,
- podkreśla uniwersalny charakter ONZ i zwraca się do krajów, które jeszcze nie są jej członkami, aby przyłączyły się do zobowiązania, wypływającego z Karty NZ,
- wyraża uroczyste wole uczynienia wszystkiego, aby zapewnić naszej planecie trwały pokój i zapobiec powszechnemu jej zniszczeniu.

Tuż po uroczystej części sesji rozpoczyna się debata na temat sytuacji bliskowschodniej. Zapowiada się ona nadzwyczaj interesująco. Jest już niemal pewne, że uda się przedłużyć okres wstrzymania ognia. Napawa to nadzieją na podjęcie rokowań, które — przypomnijmy — z winy Izraela do tej pory właściwie nie zostały rozpoczęte.

W kontekście tej debaty, ale także ogólnej sytuacji międzynarodowej, oceniają komentatorzy SPOTKANIE MIN. GROMYKI Z PREZ. NIXONEM. Trwało ono ok. 2,5 godzin — znacznie dłużej niż zakładano. Po jego zakończeniu min. Gromyko, za pośrednictwem ambasady, oplotł komunikat, w którym stwierdził, że rozmowy były interesujące i z pewnością będą miały pozytywne znaczenie dla poprawy radziecko — amerykańskich stosunków.

Wszyscy komentatorzy amerykańscy, którzy w ostatnich dniach pisali o znacznym zaostreniu stosunków między obu supermocarstwami, podkreślają przyjazną atmosferę spotkania. Zapowiada to — ich zdaniem — możliwość polepszenia sytuacji międzynarodowej.

W. ŚLAWSKI

● Zewsząd o wszystkim ●

● Zewsząd o wszystkim ●

150 tysięcy rocznie

„THE NATION” — WASZYNGTON

Po zliberalizowaniu ustawy o kontroli nad eksportem, która daje prezydentowi prawo weta na wywóz towarów do krajów socjalistycznych, kompanie zainteresowane w handlu ze Wschodem, zapowiedziały znaczne zwiększenie udziału USA w ogólnym obrocie towarowym między Wschodem i Zachodem (obecnie wynosi on 22 miliardów dolarów). Wydało się, że ów dzień nadchodził, gdy w kwietniu br. udał się do Moskwy Henry Ford. Dokonano tam wówczas wstępnej wymiany poglądów na temat budowy w ZSRR olbrzymiej fabryki samochodów ciężarowych.

Jednakże wkrótce potem minister obrony Laird publicznie poddał w wątpliwość patriotyzm Forda i ten szybko odstąpił od swego zamiaru. Natomiast inni potencjalni amerykańscy partnerzy handlowi ZSRR ograniczyli swoje oferty jedynie do małych operacji handlowych.

Zachodnioeuropejscy sojusznicy Stanów Zjednoczonych wykazywali zawsze więcej odwagi, gdy tylko nadarzyła się im okazja na zawarcie zyskownych kontaktów handlowych ze Związkiem Radzieckim. Dziś stało się jasne, iż Republika Federalna sięga po to, z czego zrezygnował Henry Ford. Oto potężna zachodnio-

miecka kompania samochodowa „Daimler-Benz” w Stutgardzie nie ukrywa, że już od czerwca br. prowadzi w Moskwie rozmowy w sprawie wybudowania w ZSRR fabryki samochodów ciężarowych. Wiadomo również, że francuski „Renault” oraz angielski „Leyland Motor Corporation” wyraził zgodę na budowę odlewni w tej fabryce, jak również na dostawę części zamiennych do ciężarówek. Fabryka, o której mowa, będzie prawdziwym gigantem na skalę współczesnych zakładów przemysłowych. Przewiduje się, iż produkcja tego kolosa wyniesie 150 tysięcy samochodów ciężarowych rocznie, to jest o 20 procent więcej, niż wyniosła globalna produkcja samochodów ciężarowych wszystkich fabryk samochodowych USA w roku 1969.

Obok Zachodnich Niemiec podobny kontrakt z Rosjanami gotowe jest zawrzeć angielsko-amerykańskie zjednoczenie, składające się z 9 kompanii samochodowych, utworzone z inicjatywy nowojorskiej „Satra Corporation”.

Jednakże NRF znajduje się dziś w pozycji uprzywilejowanej w związku z niedawnym porozumieniem, które przewiduje rozszerzenie współpracy ekonomicznej pomiędzy tymi krajami.

Kraj głębokiego średniowiecza

„LECTURE POUR TOUS” — PARYŻ

Bhutan, wielkością i ukształtowaniem terenu przybierającym kształt państwa, jest dziś niewiele więcej znany, niż odwrotna strona Księżyca. Ten mały kraj zachował do dnia dzisiejszego oblicze głębokiego średniowiecza.

Królestwo Bhutan leży w Himalajach między dwoma sąsiadami — gigantami: Indiami i Chinami. Blisko milion mieszkańców królestwa mówi dialektem tybetańskim. Bhutan nie ma własnej waluty, za eksport ryżu i drzewa do Indii otrzymuje rupie, a za nie z kolei kupuje potrzebne mu towary, głównie broń na potrzeby swej maleńkiej armii.

Goście z zagranicy przybywają bardzo rzadko, a i to tylko na osobiste zaproszenie rodziny królewskiej. W kraju, z wyjątkiem indyjskiego, nie ma innych przedstawicieli zagranicznych.

W stolicy Bhutanu — Thimphu, która jest rezydencją królewską, jak również w innych bardziej zaludnionych miejscowościach znajduje się około stu starożytnych klasztorów, w których przechowuje się bezcenne

skarby królestwa. Więc starożytne szable w pochwach inkrustowanych złotem, kolczugi, puklerze ze skór nosorżców, a przede wszystkim — najcenniejsze — tysiące rękopisów w języku tybetańskim, z opisem najważniejszych wydarzeń z długich dziejów tego kraju. Tych prawdziwych relikwii historii nie tknęła jeszcze dotąd ręka badacza.

Jednym z najbardziej interesujących zabytków z pradawnych dziejów Bhutanu są armaty, wykonane ze skóry jaków. Te niezwykle lekkie, skórzaną działą stanowią bez wątpienia najbar-dziej operatywną artylerię świata. Gdy swego czasu ten niewielki kraj usiłował podbić Anglię, poraził ich nie spodziewanie silny ogień artyleryjski w rejonach tak skalistych i wysokogórskich, gdzie, wydawało się, nie mogło być nawet mowy o wroczym i użyciu dział.

Bhutańczycy wyznają budyzm. Za broń chwytają tylko w obronę swego kraju. Postępują zgodnie z zasadą mi swej religii: człowiek nie powinien zabijać niczego, co żyje, ponieważ wszystko co

żyje, ma duszę. Zwierzę może zabić tylko w samoobronie. Nic dziwnego, iż w górskich dolinach Bhutanu przechowały się rzadkie okazy fauny: słonie, tygrysy, unikalne gatunki małp i nosorżców, przeróżne odmiany jeleni górskich, gdzie indziej na świecie wyniszczonego na szczytu w latach trzydziestych.

Bhutańczycy odznaczają się niepospolitą siłą fizyczną, wytrzymałością i zręcznością. Najbardziej ulubionym sportem w kraju jest strzelanie z łuku. Uprawiają go wszyscy, poczynając od monarchy. Bhutańczy ludzicy zdobyliby z pewnością nie jeden złoty medal na Igrzyskach Olimpijskich, gdyby ten mały kraj zaniechał

ściślejszej izolacji od świata. Duży autorytet mają w kraju szamani, jednakże i nowoczesność toruje sobie tutaj drogę. Oto charakterystyczna rozmowa między jednym z miejscowych wielmożów i gościem z Europy. Choć tu o pewnego chłopca, który najpierw dostał silnej gorączki, a następnie drgawek:

— Wiemy, że to sprawka złego ducha — mówi Bhutańczyk — ale czy przypadkiem nie ma pan na to jakichś europejskich leków?...

Bhutańczycy lubią tańce rytualne. Jedne symbolizują wierzenia religijne, inne zaś tradycje walki tego małego, ale dumnego narodu, który potrafił obronić swoją niepodległość.

Nafta, nafta...

„NEW YORK TIMES” — NOWY JORK

Prezydent Nixon udał się w podróż po Europie w czasie, który uznaje za najbardziej dogodny, aby zażądać siły amerykańskiej VI floty na Morzu Śródziemnym.

Czy naprawdę istnieją jakieś żywotne interesy, które wymagają ochrony wojennych okrętów VI floty, czy też idzie tu po prostu o sze-roko zakrojony manewr supermocarstwa, które popadło — jak to określił senator Fulbright — „w megalomanię geopolityki i podkreślenia swego „Ja”?

W Waszyngtonie rozpowszechniono pogląd, iż niezależnie od tego, jakie interesy ma Ameryka na Bliskim Wschodzie, polityczna pozycja Stanów Zjednoczonych jest tam mocno zachwiana i wielu żywotnym interesom USA grozi poważne niebezpieczeństwo.

Wizyta prezydenta Nixona na okrętach VI floty wskazuje, jak bardzo ta pozycja osłabła. Jeszcze jakieś 20 lat temu VI flota wspierała polityczny prestiż amerykańskiego prezydenta na Bliskim Wschodzie, dziś prezydent wspiera flotę.

W rejonie między Iranem na Wschodzie a Algierią na Zachodzie, Stany Zjednoczone nie interesują dwie podstawowe sprawy: z jednej strony nafta, a z drugiej — Izrael.

Bliskowschodnia nafta odgrywa poważną rolę w amerykańskiej ekonomice, a po średnio również w określonej pozycji USA w zachodniej Europie. Biznesmeni i bankierzy, którzy kontrolują amerykańskie kompanie naftowe na Bliskim Wschodzie, są nader powściągliwi w informacji o swych dochodach. Działanie ich ogranicza się do agitacji wśród ekonomistów, pracujących w federalnym aparacie administracyjnym oraz do spotkań z prezydentem i z niektórymi jego doradcami w Białym Domu.

Chociaż przed udaniem się prezydenta na Morze Śródziemne bardzo dokładnie po informowano go o znaczeniu bliskowschodniej nafty dla USA, Białe Dobre nie uważało za stosowne powiadomić o tym prasę. To jasne, wszak w drugiej połowie XX wieku manewrowanie flotą wojenną w celu ochrony własnych interesów naftowych jest rzeczą niepoważną.

Kompanie amerykańskie wydobywają na Bliskim Wschodzie i sprzedają 60 procent całej nafty arabskiej. Przynosi to dochód sięgający półtora miliarda do-

larów rocznie. Suma ta wynosi akurat tyle, ile wynosi deficyt płatniczego bilansu USA.

Jeśli amerykańskie kompanie naftowe zostaną wyrugowane z Bliskiego Wschodu, deficyt ten dwukrotnie wzrośnie. To z kolei odbije się zaraz na pozycji dolara i, przy sprzyjających okolicznościach, może wywołać de-waluację, jeśli nawet tylko w Europie rozpocznie się panika i kurs dolara zacznie spadać.

Jeśli amerykańskie kompanie naftowe zostaną wyrugowane z Bliskiego Wschodu, to — najprawdopodobniej — kraje europejskie dojdą do porozumienia z krajami arabskimi i same zaczęły wydobywać arabską naftę. Oznaczałoby to stratę w ekonomice amerykańskiej w wysokości półtora miliarda dolarów rocznie oraz równo legły z tym — osłabienie amerykańskich wpływów politycznych w zachodniej Europie.

W ostatecznym rachunku może dojść do obniżenia prestiżu paktu północnoatlantyckiego i powstania sytuacji, w której większość państw zachodnioeuropejskich zajmie takie stanowisko wobec USA, jakie zajmują obecnie Francja. Wtedy Europa stałaby się bardziej niezależna od Waszyngtonu, niż obecnie.

Jednakże sama tylko potęga militarna nie wystarczy do ochrony amerykańskich interesów naftowych na Bliskim Wschodzie. Wzmocnienie amerykańskiej VI floty o dodatkowy kontyngent pięciu okrętów wojennych, demonstracyjna wizyta floty przez samego prezydenta, jak również skierowanie na Morze Czerwone i do Zatok Perskich imponującej eskadry okrętów wojennych nie dają w końcowym efekcie większych gwarancji amerykańskim interesom naftowym.

Jeśli Stany Zjednoczone dopuszczą do tego, aby ich wpływy polityczne, jakie jeszcze mają w świecie arabskim, zmalały stopniowo do zera, to nastąpi taki dzień, kiedy amerykańska potęga militarna nie będzie musiała wchodzić w dyplomację, ponieważ nie pozostanie po niej nawet śladu.

Przyszłość amerykańskich interesów naftowych na Bliskim Wschodzie zależy bez pośrednio od tego, czy i w jakim stopniu potrafią Stany Zjednoczone utrzymać tam swoje pozycje polityczne.

Czy znasz architekturę Łodzi?

Publikujemy dziś na pierwszej stronie kolejne zdjęcie w naszym konkursie. Zadanie dla naszych Czytelników jest proste — jaka to budowa?

Odpowiedzi prosimy nadsyłać na adres: Łódź, „Odgłosy”. Płotkowska 96 — tylko na kartkach pocztowych. Konkurs trwa osiem tygodni, ale odpowiedzi można nadsyłać co tydzień.

Na naszych Czytelników czekają nagrody w postaci bonów towarowych wartości:

I nagroda — 1500 zł

II nagroda — 1000 zł

III nagroda — 700 zł

oraz pięć wyróżnień w postaci wydawnictw albumowych.

● Zewsząd o wszystkim ●

Święto Chopina

Dalszy ciąg ze str. 1

dała tej imprezie publiczność, oceniająca nie zawsze trafnie i nie zawsze sprawiedliwie, kierująca się często względami pozaartystycznymi w okłaskiwaniu wykonawców, ale zawsze gorąca i spon-taniczna. I głęboko przeżywająca różnice między ocenami własnymi, a opinią jurorów, która znajdowała realne efekty w kwalifikowaniu lub dyskwalifikowaniu poszczególnych kandydatów do kolejnych etapów Konkursu. Rozbieżności w opiniach jury i publiczności zdarzają się na wszystkich konkursach i festiwalach, ale im konkurs poważniejszy, wymagający większej fachowości w ocenianiu, tym większe zaufanie należy żywić do jury, składającego się z wysokiej klasy muzyków i pedago-gów. I mniejsze do publiczności, która — nie obrazając grupy osób naprawdę znających się na pianis-tyce — kieruje się często względami takimi jak osobisty wdzięk kandydata czy kandydatki, sym-patia dla kraju, który reprezentuje itd.

Wydaje się, że tym razem rozbieżności były większe niż kiedykolwiek i wątpliwości ogarnęły również niektórych przedstawicieli prasy, co znalazło niezbyt for-tunny wyraz na konferencji prasowej, zorganizowanej w historii Konkursów Chopinowskich po raz pierwszy. Sam pomysł chwalebny i wart kontynuowania na przy-szłość, wydaje się jednak, że nie najlepiej pomyślany od strony or-ganizacyjnej. Konferencja odbyła się bowiem w obecności pełnego międzynarodowego składu jury. Na początek każdy z gości wypow-iedział kilka grzecznościowych formułek na temat znaczenia kon-kursów w świecie, dobrej organi-zacji imprezy, gorącej publiczności i gościnności Polaków i potem niewiele czasu pozostało na dys-kusję, w której zresztą dalej nie przejęli inicjatywy polscy gospodarze, przekazując gościom obo-wiązek udzielania odpowiedzi na pytania skierowane do nich wła-snie. Uwzględniając możliwości nie-porozumień wynikłych z niezbyt dokładnego tłumaczenia pytań, nie należy się dziwić, że zagraniczni jurorzy poczuli się dotknięci, a sprowokowani do wyjaśniania, tłumaczyli, że starali się być obiektywni i uczciwi w swych osądach w miarę swych kompetencji i wiedzy, że określony sposób oceniania jest nie tylko kwe-stią fachowości, ale również indy-widualnego gustu (jak to we

wszystkich ocenach artystycznych jest przyjęte), wychowania w okre-szonych tradycjach muzycznych i interpretatorskich itd.

W gruncie rzeczy komitet orga-nizacyjny Konkursu powinien był wziąć na siebie ewentualną dysku-sję z prasą, oszczędzając gościom niepotrzebnych i nieprzyjemnych, a nie zawinionych przez nich sy-tuacji.

Wśród 80 reprezentantów 29 kra-jów trzy ekipy wyróżniały się li-czebnością. Polska, Japonia i Sta-ny Zjednoczone zaprezentowały ekipy ośmioosobowe. Inną metodę zastosował Związek Radziecki, przysyłając tylko trzy osoby, ale za to znakomicie przygotowane. III etap wyrównał te różnice li-czebne, stanęło doń po troje Pola-ków i Amerykanów, dwie Rosjan-ki i dwie Japonki. Osobiście wolę metodę radziecką, budzi większe zaufanie do występujących kandy-datów. Wystawienie bardzo licznej grupy sugeruje mi brak w tej gru-pie wybitnych indywidualności, chociaż w przypadku Ameryka-nów nie bardzo się ta teoria spraw-dziła. Garrick Ohlsson jest pianis-tą wybitnym, jednym z kandyda-tów do pierwszej nagrody. Piszę te słowa w momencie gdy rozpo-czynają się III etap Konkursu, ale ponieważ dotrą one do Czytelnik-ów gdy wyniki ostateczne będą już dobrze znane, mogą pozwolić sobie na wyrażenie osobistych wrażeń. Nie mam pretensji do jury za to, że nie dopuściło do III etapu Walidę Rasułowej, choć bardzo mi się ta pianistka podoba-ła i uważam ją za jedną z najbar-dziej utalentowanych, nie zgadzam się z publicznością, która oburza-ła się, że Jeffrey Swann nie prze-szedł do III etapu, bo on z kolei bardzo mi się nie podobał. Każdy ma prawo do własnych gustów. A żaden konkurs nie może być w pełni sprawiedliwy, choćby z te-go względu, że poziom wykonaw-stwa zależy między innymi od nastroju, formy psychicznej i fizycznej uczestnika w danym dniu. Należy tylko wyrazić uzna-nie jurorom za ich gigantyczną pracę słuchania muzyki po sześć do ośmiu godzin dziennie w ciągu trzech tygodni.

Konkurs Chopinowski gromadzi co pięć lat na warszawskiej estradzie czołówkę młodych pianistów świata. Dla wielu z nich jest jed-nym ze szczebli w karierze, dla in-nych jej początkiem. W każdym przypadku na pewno ważnym

etapem. Jest też ważny dla nas, bo przyczynia się do popularyza-cji tak bardzo polskiej muzyki Cho-pina w świecie, do zaznajomienia z polską szkołą pianistyczną, z polską interpretacją Chopina.

Bardzo charakterystyczny jest przykład Japonii, wzruszająca kon-sekwencja, z jaką Japończycy uczestniczą w każdym z konkur-sów i — zdobywają nagrody. W tym roku ekipa japońska należa-ła do najliczniejszych. Najwięk-sza też była chyba grupa słucha-czy-Japończyków na sali Filhar-monii Narodowej. Po raz pierwszy w tym Konkursie w gronie juror-ów znalazł się japoński pianista i pedagog, p. Susumu Nagai — od 10 lat wiceprezes Japońskiego To-warzystwa im. Fryderyka Chopina. Nie wiem w tej chwili czy Ikuko Endo zajmie pierwsze, czy jedno z pierwszych miejsc, ale jej suk-cesy cieszyły wszystkich. Ta 26-letnia pianistka uczestniczyła przed pięcioma laty w VII Konkursie Chopinowskim i ówczesne niepo-wodzenie nie zniechęciło jej. Po-została w Polsce, by podjąć 4-let-nie studia muzyczne, a dziś od-nieść sukces.

Jest to przykład nie tylko piękn-y, lecz i pouczający. Regulamin Konkursu określa ściśle wiek kan-dydatów (17 do 30 lat). Wydaje mi się, że ta dolna granica jest dość niska, że nie jest dobrze, gdy tak młody pianista staje do kon-frontacji z dojrzałymi, bardziej doświadczonymi kolegami. Nie każ-dy ma rozsądek i wytrwałość Ikuko Endo. Niepowodzenie w tak młodym wieku, przy dużej ambicji i wrażliwości jaka cechuje na ogół ludzi utalentowanych, może ujem-nie odbić się na jego artystycznej przyszłości. Jeszcze bardziej ujem-nie może się odbić na tej przy-szłości przedwczesne powodzenie. Niestety, istnieje u nas tendencja zbyt wczesnego wprowadzania na sceny muzyczne i estrady koncer-towe młodzieży wybitnie utalen-towanej. A to pociąga za sobą za-rzucenie nauki lub kontynuowa-nie jej w zbyt słabym stopniu, psy-chozy, nerwice i koniec kariery, która mogła być naprawdę karierą światową. Szanujmy nasze wielkie talenty nie dając się ponieść am-bicjom rodzicielskim i pedagogicz-nym, kierując ich losami rozsąd-nie, z doświadczeniem życiowym, którego oni jeszcze nie mają.

Wśród notek biograficznych, za-mieszczonych w programie Kon-kursu, obok nazwisk i zdjęć kan-dydatów zagranicznych, tu i ów-dzie znajdowałam informację mniej więcej taką: „uczy się mu-zyki od 4 roku życia, koncertuje od 8 roku życia”. Nie wiem dla-czego autorzy programu zamieści-li te humorystyczne wiadomości, w każdym razie nie zasugerowały one jurorów, bo żadne z owych cudownych dzieci do II etapu nie przeszło.

Myślę, że nasi młodzi naprawdę utalentowani pianisci, którzy mieli zaszczyt reprezentować Polskę na VIII Konkursie Chopinowskim, bę-dą naśladować raczej Ikuko En-do. To znaczy po prostu — uczyć się dalej. Są młodzi, mają szansę

zrobienia kariery. Ci, którym się nie powiodło, mają jeszcze moż-ność wystąpienia w Konkursie Chopinowskim za pięć lat.

Ośiem Konkursów Chopinow-skich to 38 lat tradycji tej wiel-kiej imprezy pianistycznej, to ka-wał historii polskiej i nie tylko polskiej pianistyki. Dziś w gronie jury zasiadają laureaci pierwszych konkursów, artyści o znanych i sławnych nazwiskach, a wśród nich Bolesław Woytowicz, Witold Mał-cużyński, Jan Ekier, Zbigniew Szy-monowicz, Regina Smendzianka, Inni, których los zagnał w różne strony świata, uczą tam jak grać Chopina po polsku. W jednej z audycji telewizyjnych ktoś powie-dział, że Amerykanie nie mają problemu z interpretacją dzieł Cho-pina, bo uczą się u Polaków. VIII Konkurs zgromadził więcej niż po-

Brytanii uczą się w Manchesterze u Ryszarda Baksta — laureata IV Konkursu Chopinowskiego. I tak dalej i dalej. Prawie — zjazd po-lonijny.

I nie tylko polonijny. Biuletyn Informacyjny biura prasowego po-dawał stale komunikaty o przyby-ciu do Warszawy znanych muzy-ków i organizatorów życia muzycz-nego z zagranicy. Z okazji Konkur-su bawił w Warszawie dr Vilem Pospisil, kierownik artystyczny Praského Jara, Marquis de Gon-taut-Biron z Francji — wiceprez-wodniczący Federacji Międzynaro-dowych Konkursów Muzycznych, Juergen Meyer-Josten z NKF — dyrektor Międzynarodowych Kon-kursów Muzycznych w Mona-chium, Koichi Namura — prezes Japońskiego Towarzystwa im. F. Chopina z 34-osobowa grupa me-lomanów japońskich, Adriana Ca-



przednie kandydatów pochodzenia polskiego. Wynotowałam sobie kil-ka nazwisk. Oto Kanadę reprezen-towała m.in. Janina Fijałkowska, Stany Zjednoczone — Mona Diana Golabek i Ronald Kmiec, Australi-ę — Cecylia Kazimierzczak, Brazylię — Luis Thomaszek, Włochy — Izabela Zielonka, Wielką Bryta-nię — Jolanta Osiatyńska. Emanuel Ax (USA) do 1957 r. uczył się mu-zyki w Warszawie, David Hartli-gan i Stephen Reynolds z Wielkiej

sagrandy z Włoch — organizator-ka Międzynarodowych Konkursów Pianistycznych i wielu innych. Przysłuchiwali się także występom swych młodszych kolegów zagra-niczni laureaci poprzednich kon-kursów.

Chopinowskie święto pokazuje, uświadamia nam, Polakom, jak bardzo muzyka Chopina stała się międzynarodowa, jak stała się własnością całego świata.

TERESA WOJCIECHOWSKA

Turniej czytelniczy ZMS

Po raz dziewiąty odbywa się Ogólnopolski Turniej Czy-telniczy ZMS, stanowiący jedną z szeroko zakreślonych form propagowania i upowszechniania czytelnictwa wśród młodych czytelników do lat 30. Organizatorzy liczą na po-ważny udział w tej imprezie zarówno młodzieży pracu-jącej jak i uczniów ze szkół przyzakładowych i mię-dyzakładowych.

Czas trwania IX Ogólnopolskiego Konkursu Czytelnic-zego ZMS został podzielony na cztery etapy, z których każdy stanowi zamknięty cykl, zarówno dla pracy orga-nizacyjnej nad przebiegiem konkursu jak i dla jego uczestników.

I ETAP (I. X. 1970 — 31. III. 1971) będzie przebiegał pod hasłem organizowania i propagowania Turnieju. Przez sześć miesięcy, we wszystkich organizacjach ZMS, będą odbywały się spotkania autorskie, dyskusje nad poszczególnymi książkami oraz omawianie ich w radio-węzłach i gazetkach zakładowych. Jest to ważny etap, bowiem da on możliwość organizatorom sprawdzenia, czy turniej przebiega prawidłowo i czy zwiększa się ilość czytelników, szczególnie wśród młodzieży pracującej.

II ETAP (I. IV. — 30. IV. 1971) będzie związany z pod-sumowaniem przebiegu turnieju, rozdaniem nagród i dy-plomów dla najlepszych kół ZMS. Również w kwietniu odbędą się eliminacje powiatowe dla osób wytypowa-nych przez koła ZMS.

III ETAP (2 — 30. V. 1971) będzie już oceną Turnieju na terenie województwa. Wojewódzkie komisje przyzna-ją dyplomy i wyróżnienia dla trzech najlepszych powia-tów. Powiat, który zajmie pierwszą lokatę, otrzyma na-grodę w wysokości 5 tys. złotych.

IV ETAP (czerwiec 1971) to już finał IX Ogólnopolskie-go Turnieju Czytelniczego ZMS z udziałem zwycięzców eliminacji wojewódzkich. Zwycięzcy otrzymają nagrody w postaci wycieczek zagranicznych oraz dodatkowo na-grody rzeczowe. W tym samym czasie Centralna Komi-sja oceni udział województw w Turnieju i przyzna dla trzech ZW ZMS nagrody pieniężne.

Poniżej podajemy wykaz książek IX Ogólnopolskiego Turnieju Czytelniczego ZMS.

I ZESTAW — BELETRYSTYKA

Jerzy Bronisławski — „Zanim przyjdą o świecie”
Ryszard Kapuściński — „Kiergiz schodzi z konia”
Józef Lenart — „Portret z diamentów”
Władysław Machajek — „Partyzant sługa boży”
Alberto Moravia — „Obojętni”
Jerzy Putrament — „Bolidy”
Marian Reniak — „Droga z Monachium”
Janina Zajączkówna — „Obszary lęku”
Wojciech Żukrowski — „Szościelarz”
Wiesław Jażdżyński — „Sprawa”
Ewa Ostrowska — „Gdzie winą jest duża...”
Jan Huszcza — „Pan Gracjan i inni”

II ZESTAW — LITERATURA SPOŁECZNO-POLITYCZNA I POPULARNO-NAUKOWA

„Integracja ekonomiczna krajów socjalistycznych”
Edmund Męclewski — „Ziemie Zachodnie i Północne — Historia — Osiągnięcia — Perspektywy”
Edmund Osmańczyk — „Był rok 1945”
Kazimierz Sidor — „Rewolucja pod piramidami”
Władysław Śliwka-Szczerbiec — „Podwójne życie Sajgonu”
Alojzy Twardecki — „Szkoła Janeczaków — Listy do niemieckiego przyjaciela”
Zbigniew Żalusi — „Czterdziesty czwarty”
Zbigniew Żalusi — „Ziarna na okopie”

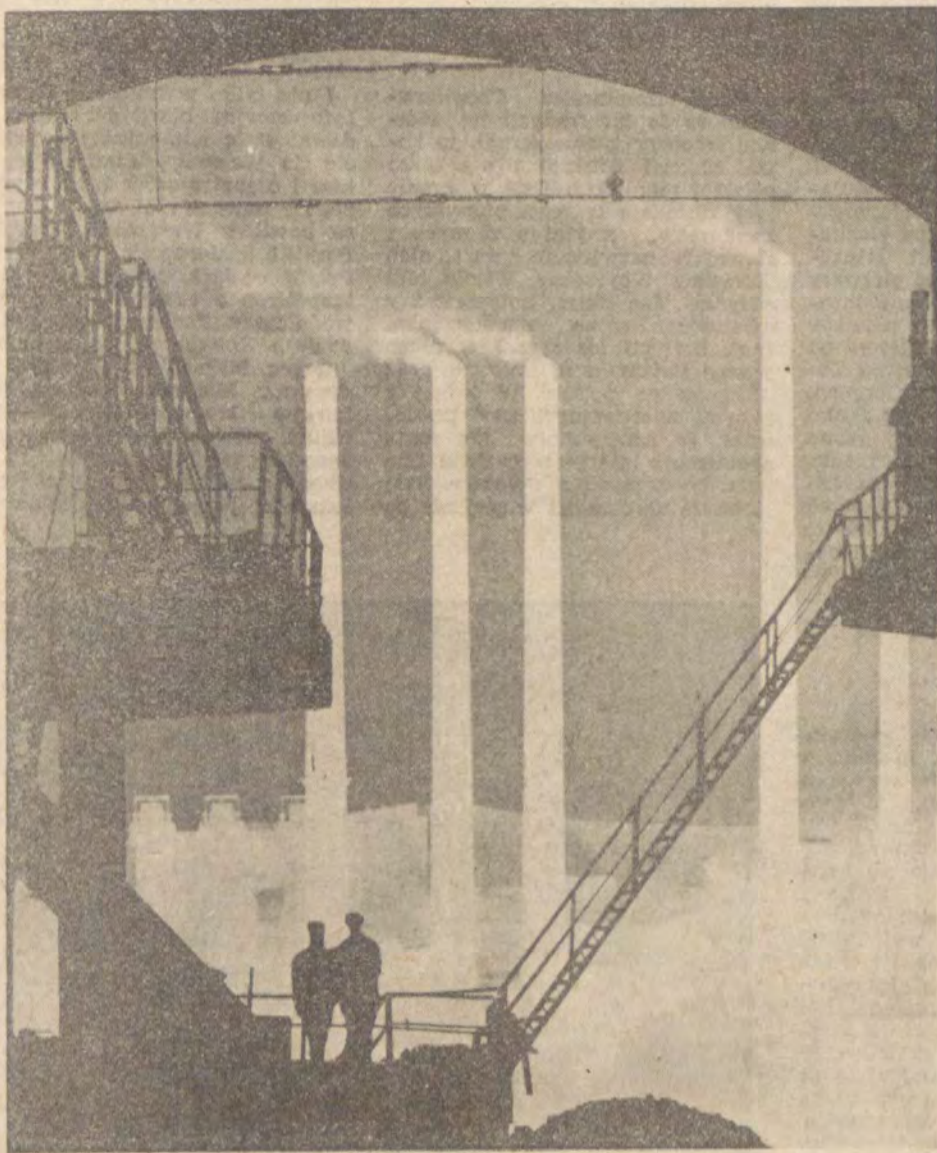
Pragniemy jednocześnie zwrócić uwagę czytelników, że w pierwszym zestawie książek znalazło się aż trzech pi-sarzy łódzkich (Ewa Ostrowska, Wiesław Jażdżyński i Jan Huszcza).

Powyższe książki będą recenzowane w kolejnych nu-merach naszego pisma.

Całością prac związanych z przeprowadzeniem Turnieju kieruje Centralna Komisja, która wraz z Wydziałem Pro-pagandy ZG ZMS zorganizuje zakończenie i finał.

Przewodniczącym Wojewódzkiej Komisji IX Ogólnopolskiego Turnieju Czytelniczego ZMS jest Edward Sie-kowski, dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Łodzi. W skład komisji wchodzi przedstawiciel Wydzia-łu Kultury PWRN, WKZZ, „Domu Książki”, redakcji „Odgłosów”, „Głosu Robotniczego”, „Dziennika Łódzkie-go” oraz Radia i Telewizji.

Sekretariat Komisji mieści się w Wydziale Propagandy ZW ZMS, Łódź, al. Kościuszki 111/113, tel. 657-32.



Atom w łódzkiej pracowni

Dalszy ciąg ze str. 1

ranga wzrasta. Gruchnęła wieść, że są nad Łódką naukowcy, którzy wszczęli prace badawcze nad pierwszą w kraju elektrownią atomową. Już inaczej nie można. Nie tak jeszcze dawno Łódź wystarczała jedna elektrownia przy dawnej ul. Przejazd. Potem wybudowano jeszcze dwie. Mało, wciąż mało, tak, że budowa czwartej elektrociepłowni dla miasta ma być przyspieszona. Wszędzie, w każdym niemal kraju produkcja energii elektrycznej podwaja się średnio co 9 lat. Idziemy równym krokiem. Nie pozostajemy w tyle. Ale przed nami jest mnóstwo państw, które kroczą jeszcze dłuższym, daleko też równiejszym krokiem.

Za to perspektywy są oszałamiające.

O ile moc polskich elektrowni wynosi w tym roku 13.000 MW, to za lat 15 ma dojść do 40.000 MW. Cała więc trudność w energetyce na tym będzie się zasa- dzać, że sam węgiel już nie starczy. Wta- jemniczeni poradzi mi: — Niech pan szuka klucza w Instytucie Techniki Ciepłej przy Piotrkowskiej.

Siedziba Instytutu to typowa prowizor- ka. Naukowcy bledzą się w obskurnym raczej gmachu, lecz zbytnio nie narzeka- ją. Pracy jest nawał. I to pasjonującej. Celem jest atomowa elektrownia, która powinna ruszyć najpóźniej w 1980 roku. Jestem tu intruzem. Wiem o tym. Tym bardziej, że zadaję mnóstwo pytań, może bzdurnych i naiwnych. A oni, ludzie in- nej, atomowej już ery, cierpliwie tłuma- czą. Należą do naukowej elity, która po-

sługuje się im tylko znanym językiem, operuje skrótami, ale, rzecz dziwna, za- nieczym tak nie przepada jak za dobrym kawalem.

Może to ów wentyl bezpieczeństwa?

Może w ten sposób uwalniają się od przytłaczającego stresu i w żarcie szu- kają nieco wytchnienia. Mówią powoli, z namysłem. Kazimierz Loreński, Sławo- mir Siennicki i szef — Władysław Ga- jewski. Wszystko ludzie utytułowani, o- liczącym się już dorobku. Poruszali się w zawalonych kwestiach atomistyki ze swo- boda dużej miary speców. Otworzyła się przed nimi jeszcze jedna szansa. Doprav- dy atomowa.

— Czy pan wie, że mamy do odro- bienia pokazać już zaległości? Czesi uru- chamiają swą pierwszą elektrownię ato- mową już za rok. Nasi zachodni sąsiedzi znad Odry mają własną tego typu elek- trownię już od 3 lat. Czy pan wie, że za 5 lat atomowe elektrownie ruszą w Syja- mie i w Pakistanie?

Nie o tym nie wiedziałem. W ogóle to nie jest teren dostępny dla laika, cóż miałem robić wobec tego innego niż słu- chać?

Atomowych elektrowni jest już w świe- cie blisko 100. Ich liczba gwałtownie roś- nie. Wyjątkowo silną w tej mierze pozyc- ją zajęły Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Anglia niewiele im ustępuje. Ruszyli się już Bułgarzy. Wciąż czas byłby wielki, byśmy dołączyli do coraz liczniej- szej grupy państw, które w atomie upa- trują przyszłość energetyki. Przecież ko- szty wydobycia węgla wzrastają. Z silą roboczą też są trudności. A jeszcze trans- port. Już dzisiaj koleje dławią się wę- glem. Trzeba by budować nowe linie, a to absolutnie się nie opłaca.

— Czy elektrownia atomowa w NRD to jakiś duży obiekt?

Raczej niewielka, o mocy 70 MW. Taki poligon doświadczalny. Obecnie budowa- na jest w NRD druga już elektrownia atomowa „Nord” o mocy 440 MW. Elek- trownia bułgarska będzie tej samej wiel- kości. Koszty są ogromne. Budowa elek- trowni atomowej tej mocy polknie 660 milionów dolarów. Technika kosztuje. Nie przypadkiem kilogram rakiety kosztuje grubo więcej niż kilogram złota. Myśmy wyszli z założenia, że jak budować to od razu większe obiekty. Pierwsza polska elektrownia atomowa będzie miała moc 1000 MW. To już gigant, który mógłby zaopatrzyć w prąd mieszkańców i cały przemysł w mieście trzykrotnie większym od Łodzi. Reaktor będzie typowy, wodno- ciśnieniowy na dwie turbiny po 500 MW. Prace studialne nad tym obiektem za- kończą się w roku przyszłym. Właściwie cały ten problem leży nie w umiejętności- ściach, tylko w kosztach. Dość w Polsce wyspecjalizowanych mózgów, które by mogły się pokusić o ujarzmienie atomu już dawno. Naukowcy z Instytutu Tech- niki Ciepłej mają przeto ustalić, jakie elementy elektrowni atomowej mogliby- my wyprodukować w kraju, a jakie trze- ba będzie sprowadzić.

Łódzcy naukowcy są zdania, że jeste- my w stanie wyprodukować we własnym zakresie wytwornice pary do atomowej elektrowni, pompy cyrkulacyjne, turbiny na parę nasyconą, urządzenia do obróbki wody, część rurociągów... Czemu tylko część? Bo nie umiemy jeszcze wytwarzać rur o metrowym prawie przekroju. Rura niby rzecz prosta. W istocie to jeden z najwyższych progów współczesnej te- chniki. Trzeba będzie wyprodukować stal odporną nie tylko na korozję, ale też na

promieniowanie. Trzeba będzie wytwa- rzać rurki ze stali austenitycznej, wysoko- stopowej, które dotychczas sprowadzali- my. Trzeba będzie... „Atomówka” zmusi do nowego wysiłku i podciągnię w górne rejony światowej technologii kilkadziesiąt wytwórni z różnych dziedzin przemysłu.

W elektrowniach tradycyjnych 60 proc. kosztów to paliwo. Jest nim węgiel. W elektrowniach atomowych 60 proc. to ko- szty budowy, wśród nich główną pozycję zajmuje reaktor. Trzeba zań płacić dewi- zami. Paliwo do tych elektrowni też trze- ba importować. Polskie elektrownie z te- go właśnie względu węglem stoją i długo jeszcze nim stać będą. Węgiel lepiej się nam kalkuluje niż srebrzysty uran, ale o- to idzie, by znaleźć rozsądne połączenie tego co konieczne z tym co aktualnie możliwe. Dlatego patrzymy na atom. Nie z tego wyłącznie względu, by dystans, dzielący nas od Zachodu zbytnio się nie pogłębił i nie po to jedynie, by stawić czoła współzawodnictwu, które rysuje się też w ramach RWPG, ale i z tej prostej przyczyny, że na samym węglu tej nowej energetyki zbudować się nie da. Słyszysz, że pod koniec tego wieku będziemy wytwarzać energię elektryczną o mocy 140.000 MW. Takich zasobów węgla na- wet my nie posiadamy. Zresztą gdyby nawet, to po cóż dzurawić ziemię wciąż nowymi szybami, kiedy cały ten prob- lem załatwi atom i to bez dymu, sadzy i górniczego potu?

W górnictwie, gdzie mięśnie wciąż się liczą najbardziej, jesteśmy przodujący. Nie ma górników lepszych od tych z Cho- rzowa i Rybnika. Polacy załadniają też kopalnie Francji, Belgii, Westfalii, a je- szcze amerykańskie w Appalachian Mo- untains. Ale to żaden powód do radości. Człowiek wybił się nie siłą mięśni tylko siłą mózgu. W herbie Niemieckiej Repu- bliki Demokratycznej jest cyrkiel. Sig- num temporis. Gospodarczy cud nie z- nieba spłynął na ziemię za Odrą tylko z naukowych pracowni.

Pod koniec wieku, w którym żyjemy, ma być w Polsce już kilkanaście elektro- wni atomowych. Drogę na wielki atomo- wy szlak torują łódzcy naukowcy. Szerok- kiej drogi! Były tylko na jakimś kolej- nym zakręcie nie zboczyła na Bełchatów. O tym już się przebąkało. Ponoć bełcha- towski węgiel brunatny też jeszcze do- czeka się eksploatacji. Szkoda. Bo lepiej by było, gdyby leżał gdzie leży. To nędz- ne paliwo. Przy tym okolice Bełchatowa trzeba by przekształcić w kosmiczną pu- stynię. Od węgla, jak niegdyś Anglia, można na pewno zacząć wspinaczkę. Nie wolno jednak na nim kończyć. Za kilka lat na Wyspach Brytyjskich będzie w ruchu ponad 40 elektrowni atomowych. Angliecy na ogół dobrze wiedzą, co robią. Król węgla ustąpi z placu boju wcześ- niej lub później. Jeśli coś go zastąpi, to z całą pewnością atom.

JAN BABIŃSKI



Mało kto wie o istnieniu tego małego, wąskiego zaułka ukrytego w bok od najwspanialszych londyń- skich ulic, takich jak Picca- dilly lub Regent street, a prze- ciż maleńka Carnaby wywar- ła na nasze życie społeczne do- strzegalny przez każdego wpływ. Wpływ Carnaby street wyraża się w tym wszystkim kolorowym i dziwnym, co widzimy na grzbiętach i biod- rach naszej młodzieży. Bo to się właśnie tam rozdziło.

Tytuł założyciela kolorowej stolicy świata przysługuje być może niejakiemu Johnowi Ste- phen, który otworzył na tej uliczce swój pierwszy sklep w końcu lat 50-ych. Był to sklep z ubraniami męskimi, ale od- biegającymi od przyjętych w modzie kanonów. Przedsięwzię- cie ryzykowne. Na co liczył John Stephen, inwestując w podobne przedsięwzięcie — nie wiadomo. Jak łatwo było wów- czas otworzyć sklep w tym punkcie, o tym mówi wyso- kość czynszu. W 1957 roku sie- dem i pół funta tygodniowo, obecnie — 100 funtów tygod- niowo. W sąsiedztwie tego ko- lorowego sklepiku nieźle pro- sperowały dwa inne przedsię- biorstwa, należące do zgola in-

nej branży — bar publiczny „The Shakespeare” i mająca niezłą reputację kawiarenka. Może John Stephen liczył wła- śnie na gości tamtych dwóch instytucji. Niedaleko bowiem Carnaby street leży osławione Soho, miejsce, którego charak- ter poznać można choćby tyl- ko z poniższych napisów umie- szczonych tam w dobrze wi- docznych miejscach: „Strip- tease non stop całą dobę” i drugi, będący uzupełnieniem wielkiej kolorowej fotografii: „Czyż — u diabła — wiecznie będziesz dziewczyną?”

Okazało się, że z usług So- ho korzystają między innymi bożyszcza z krainy piosenki a później — big-beatu i oto do kolorowego sklepu Johna Ste- phen poczęli zaglądać panowie o nazwiskach Cliff Richard, Dave Clark, członkowie zespo- łu „The Rolling Stones”, a skoro bożyszcza pokazały się na estradach w spodniach w kwiaty, jaskrawych koszulach i wisiorach, wysłedyli ich drogi tysiączne rzesze wielbi- cieli i oto sklepik okazał się za ciasny. Stephen zaczął ot- wierać następne i miał ich w- pewnym momencie dziewięć.

Niedaleko Carnaby street le-

ży jedyna w swoim rodzaju ulica prasy — Fleet street. Niemal na każdym jej domu widnieje jeden lub kilka ty- tułów gazet. Rychło więc

JERZY URBANKIEWICZ

Kolorowy pepek świata

dziennikarze zorientowali się, co się święci na dziwnej ulicz- ce, odmalowali ją w reporta- żach, a w roku 1965 sam do- stojny Dally Telegraph poczęł penetrować dzielnicę, wyla- wiać jej ciekawostki, odnoto- wywać, kogo tam widziano i w ten sposób sława tego miej- sca została ugruntowana, w- londyńskich folderach pojawi-

ła się jeszcze jedna interesu- jąca pozycja i turyści poczęli przyjeżdżać tłumnie.

To właśnie tu pojawiły się po raz pierwszy owe niebies-

kie dżinsy wypłowiałe na u- dach i pośladkach na białe. Były też białe z niebieskimi plamami, ale nie chwyciły. Koszule w kwiaty i krawaty podobnie ubarwione tu sobie zyskały prawo obywatelstwa. Tu po raz pierwszy wystawio- no na sprzedaż drelchowe czapki, te same, które parę lat temu okazały się niezbęd-

nym uzupełnieniem stroju mło- dego dziewczyny i młodego chłopca w Polsce. Obok nich młodzież angielska z entuzjaz- mem powitała kapelusze Sher- locka Holmesa. Ten kolorowy styl został częściowo stworzo- ny, a na pewno zaakceptowa- ny przez młodzież. Ale także dorodzi uznali częściowo ten- pęd ku barwności, tę skłon- ność do łamania kanonów za- zjawisko społeczne.

I oto głos zabralo Stowarzy- szenie Producentów Ubrań Mę- skich i autorytatywnie orze- kło, że każdy Brytyjczyk, nie- tylko kilkunastoletni, ma się poddać „pawiej modzie”. Jed- nakże do dziś kolorowi mło- dzieńcy stanowią znikomą mniejszość angielskiej ulicy. Niemniej zaczął zanikać trady- cyjny strój angielskich busi- nessmanów — melonik, czar- na marynarka, sztuczkowe spo- dne oraz parasol i dziś strój taki spotyka się o wiele rzad-ziej niż przed kilku laty. W- londyńskiej City pojaśniało. Zjawisko to nazwano „carnaby- zowaniem się”. Wielu z tych- ludzi interesu, którzy dawniej nosili ów tradycyjny strój, po- częło dzielić czas na obecny i „przedcarnabowski”. Różnica- pomiędzy tymi dwoma pole-

ga na tym, że dawny, czarny uniform budził zaufanie, suge- rował, że jego właściciel jest człowiekiem honoru. Obecnie — strój zdobczy człowieka, ale go nie określa. Rosła więc le- genda Carnaby street, a jej wyrazem stała się etykieta przypięta do ubrań, poczę- to o nią pytać daleko poza granicami Anglii. O tym zaś, że tamtejszy styl ubioru do- tarł bardzo daleko, wiemy również i my, oglądając na- ulicach i estradach tak nieraz niezwykle kostiumy.

Jeżeli Carnaby street pozos- tała nadal stolicą barwności oraz inspirowała pewien styl, to przecież pod jej wpływem poczęły się pojawiać sklepy z- kolorową zawartością również w innych dzielnicach Londy- nu. Na przykład niejaki John Paul, prowadzący sklep na Portobello Road market nosił dla reklamy barwny uniform wojskowy. Ktoś podsunął mu- myśl, by strój ten „skarnaby- zować”. John ryzykował wszy- stwie swoje oszczędności, za- mówił 500 uniformów z cza- sowo wojny boerskiej. Wysta- wił je na sprzedaż pewnej so- boty rankiem, a do wieczora- nie zostało ani jednego. Był to znakomity start. John Paul

Zdarzyło mi się niedawno pojechać do Radomia. Ładne, dość duże miasto, w którym jeszcze nigdy nie byłam. Z książki telefonicznej dowiedziałam się, że są tam 3 hotele: „Europejski”, „Francuski” i „Polonia”. Dowiedziałam się też, że wystarczy porozumieć się z recepcją hotelu „Europejskiego”, aby uzyskać pokój w innym hotelu lub prywatną kwaterę. Rzeczywiście poziom europejski — pomyślałam — i szybko zreagowałam odpowiednią depeszę.

Przyjeżdżam do Radomia spokojna i ufna, że wygodnie przebiegnie noc, a w recepcji „Europejskiego” powitano mnie od razu informacją, która wydała mi się nie bardzo na temat.

— Operetka warszawska do nas przyjeżdża — powiedziała smutna panienska w okienku.

— Bardzo się cieszę — ja na to — choć za operetką nie przepadam. Dla mnie raczej pokój, o który prosiłam telefonicznie.

Panienska popatrzyła na mnie uważnie, coś tam sprawdziła w swoich zapiskach i powiedziała:

— Owszem jest, ale tylko na jedną dobę.

— Prosiłam o trzy.

— Nie możemy. Powiedziałam już przecież, że przyjeżdża operetka.

— Powiedziałam, że się cieszę, ale co to mnie obchodzi?

— A powinno — ucieszyła się panienska — bo oni zajmują wszystkie hotele, a my zwyczajnym gościom możemy oferować tylko prywatne kwatery.

— Wobec tego proszę o pokój na dziś i przyzwoitą kwaterę na pozostałe dwa dni.

— Nie mogę — powiedziała panienska z wyraźną rezygnacją, bo ją widać moja tępotą znużyła — to trzeba załatwić jutro z samego rana.

Rano była już inna panienska, a na szybko wisiła kartka informująca, że w hotelach Radomia miejsc nie ma i wszyscy mogą liczyć tylko na prywatne kwatery.

— Chodzi mi o przejsie na prywatną kwaterę, bo ta — niech ją licha porwie — operetka, wszystkie miejsca zajęła.

— A to proszę przyjść po 12!

— Droga pani, ja zaraz wyjeżdżam na kilka godzin, bo ja tu przyjechałam pracować, więc chcę po powrocie mieć gdzie spać.

— Nic nie poradzę, takie przepisy, mogę tylko zarezerwować kwaterę pierwszej kategorii.

Na dalszą dyskusję nie miałam już czasu, bo zaraz odchodził mój pociąg, a zresztą nie było z kim, bo panienska z hotelowego okienka wykonywała tylko czyjeś polecenia. A ten ktoś nie rozumiał, że to nie z mojej winy nie ma miejsc w hotelu i jeśli przyjął moje zamówienie, to powinien był zająć się resztą. Nawet przewiezieniem mojego bagażu na prywatną kwaterę. W końcu okazało się, że jednak znalazł się pokój, w innym, skromniejszym hotelu. Ale przecież mogło to wszystko odbyć się o wiele spokojniej. Nie wymagam wcale, aby dyrektor radomskich hoteli osobiście składał mi wizytę i przeproszał za kłopot z przeno-

sinami. W końcu to on mi robił łaskę, że daje mi miejsce, a nie ja jemu i jego przedsiębiorstwu, że chce gdzieś nocować. Takich chętnych jak ja jest więcej niż miejsc. I to właściwie wyjaśnia całą sytuację w polskim hotelarstwie.

Na półkach księgarskich ukazało się interesujące i bardzo charakterystyczne wydawnictwo. Nakładem Zrzeszenia Polskich Hotelarzy Turystycznych w 12 tys. egzem-

plarzy, w języku angielskim, francuskim, niemieckim i polskim wydano książeczkę liczącą 84 strony i jedną mapkę, a noszącą tytuł „Polska — Hotele”. Można się z niej dowiedzieć, że mamy hotele, motele, pensjonaty, domy wycieczkowe i schroniska. Hotele dzielą się na 5 kategorii, od IV, najniższej, do I, najwyższej. Domy wycieczkowe, motele, pensjonaty i schroniska dzielą się na 4 kategorie.

MONIKA BOGUCA

Dla mnie Bon Alba

„Wymagania stawiane hotelom niższych kategorii są dość skromne — stwierdza się we wstępie — lecz już hotele drugiej kategorii dysponują pokojami zapewniającymi wszelkie wygody, obsługę władającą obcymi językami, klubem, restauracją i kawiarnią”.

To dobrze, że książeczkę tę znalazłam już po mojej podróży do Radomia, bo w ten sposób uniknęłam rozczarowania. „Europejski” w Radomiu należy do drugiej kategorii, a więc mam prawo spodziewać się „wszelkich wygód”. Pomijam już tutaj fakt, że biały niegdyś kolor ręcznika przypominał teraz szarawy odcień zużytej ściereki do wycierania naczyni. Że nie było mydła. Z informacji zawartych w książce dowiedziałam się, że hotel dysponuje restauracją i dansingiem. Rzeczywiście restauracja jest tu obok. Nawet o podobnej nazwie: „Europa”, ale należy ona do innego przedsiębiorstwa, czynna jest od godziny 9, więc przeciętny obywatel na delegacji zjeść tam śniadania nie zdąży, a i na kolację nie ma co liczyć, bo od godz. 20 za-

lem a barem można sobie zamówić posiłek do pokoju.

„W hotelach wyższych kategorii — stwierdza wstęp do publikacji „Polska — Hotele” — w tym we wszystkich hotelach „Orbis”, na życzenie gościa posiłki podaje się do pokoju”.

Kartuski „Centralny” nie jest hotelem wyższej kategorii, ale widać ma kierownictwo, które lubi myśleć. Być może dlatego, że ruch tu jest raczej skromniejszy niż w innych miastach. A może i dlatego, że kierownik hotelu wie po prostu o tym, iż hotel jest dla klienta. A nie odwrotnie.

BON ALBA STOP RAPIN AERO. Gdybym wysłała taką depeszę do jakiegokolwiek hotelu na świecie, to doświadczony recepcjonista odczytałby to: „Dobry pokój jednoosobowy proszę zarezerwować na kilka dni, przyjeżdżam w poniedziałek w nocy. Proszę oczekiwać na lotnisku”.

Nakręciłam numer recepcji „Grand-Hotel” w Łodzi i zapytałam:

— Czy pani otrzymuje zamówienia krajowe i zagraniczne na rezerwację pokoi?

— Oczywiście!

— W jakich językach?

— Polskim lub obcym.

— Czy przy zamówieniach posługuje się ktoś międzynarodowym kluczem?

— Nie zdarzyło mi się.

— A innym pracownikom?

— Też nie.

— Czy potrafiłaby pani odczytać taką depeszę?

— Tak, gdyż mam w domu odpowiedni podręcznik.

W tej sytuacji gdy będę chciała zamówić BON ALBA czyli dobry pokój jednoosobowy, to jednak napiszę tradycyjnie. A nie daj Boże recepcjonista nie będzie miał nawet w domu podręcznika i pomyśli, że to nie znany mu bliżej język jakichś plemion z afrykańskiego buszu. Więc dla mnie BON ALBA, ale tradycyjnie, po polsku.

O sytuacji hotelowej w kraju napisano już wiele i tyle razy już dziwno się, że nie buduje się hoteli, choć to na całym świecie najbardziej opłacalny interes, iż jeszcze raz dziwić się nawet nie wypada. Mamy trochę turystycznych terenów, ale w Darłowie nie ma hotelu, a w Darłowie jest tylko Dom Wycieczkowy PTT-K z 78 miejscami. Nie ma także hoteli na całym Półwyspie Helskim. W Dziwnowie jest tylko Dom Wycieczkowy PTT-K z 123 miejscami. Można dalej tak mnożyć przykłady, choćby tylko z wybrzeża bałtyckiego, bo w górach jest nieco lepiej, ale przecież Polska nie kończy się na morzu i górach.

Wiadomo, jaka jest sytuacja w „świecie inwestycji”, wiadomo, że

marnotrawione przez nieudolność inwestorów i wykonawców pieniądze ograniczają dalsze wydatki. Wszystko to prawda, ale tym niemniej potrzeba też i solidnego rachunku ekonomicznego w sprawach turystyki, a więc i hotelarstwa. Przecież, gdy ktoś decyduje się jechać nad morze i za obokurny pokój płacić do 100 zł dziennie, to na pewno wolałby dać tyle samo za przyzwoity pokój w skromnym hotelu, czy pensjonacie. I nie jest żadnym argumentem, że taki hotel może być eksploatowany tylko przez określony okres.

Myślę, że nadszedł czas zastanowienia się nad naszą bazą hotelową, jak to ktoś „uczenie” nazywał. Wprawdzie doszliśmy już do tego, że wielu chętnych musiało zrezygnować z przybycia do Polski na festiwal sopocki, że były kłopoty z umieszczeniem muzyków podczas „Warszawskiej Jesieni”, ale kto by się spodziewał, że przyjazd operetki spowoduje hotelowe perturbacje w Radomiu. Umiejętność rezygnacji z dewizowych wpływów nie powinna przecież prowadzić do tego, aby nie tylko krajowy turysta, ale każdy podróżujący nie mógł liczyć nie tylko na przyzwoite przenocowanie, ale nawet na właściwe potraktowanie.



postarał się o lokal w pobliżu Carnaby street, nazwał go: „Bytem ordynansem Lorda Kitchenera” i sprzedał setki tysięcy historycznych uniforów. Nie obeszło się bez awantur. Wojskowi niezdacnie protestowali przeciwko takiemu zwulgarzaniu historii, czarnych, pułkowych barw. Ale rozróbki stały się tylko reklamą i interes prosperował pierwszorzędnie. John Paul znalazł lokal na Carnaby a dotarł również do Piccadilly Circus — czyli samego centrum brytyjskiej metropolii i począł wymyślać nowinki. Pewne echa jego pomysłu z mundurami dotarły przed parę laty do Polski.

Następnym pomysłem Johna Paula było wykorzystanie w ubraniu flagi angielskiej. Proszę sobie wyobrazić spodniczkę, bluzeczkę, na niej kamizelkę i jeszcze kapelusze — wszyscy tko uszyte z flag angielskich. Podobało się i można dziś spotkać na ulicy angielskiej dzie wczynę w podobnym stroju. Byłem na Carnaby street przed miesiącem. W oknie wystawowym „Ordynansa Lorda Kitchenera” siedzi sobie mame kin w stroju z barw państwo

wych. Dziwni ci Anglicy. Po każdym filmie grają hymn państwowy, którego należy wysłuchać w postawie pełnej szacunku. Nie wolno złego słowa powiedzieć o rodzinie królewskiej. Ale flagę widziałem znieważaną w dość różnorodnych okolicznościach.

Nie obeszło się bez uwag krytycznych pod adresem Carnaby street. Delegat Stowarzyszenia Producentów Ubrań Męskich powiedział kiedyś: „Ten Carnaby styl zaczyna być męczący. W dziedzinie mody powinny nami kierować autorytety, abyśmy — niezależnie od noszonych barw — dali na męczyzn, a nie na zbłązane pawie. Niektóre z pomysłów Carnaby street są zupełnie niezłe, ale w obecnej realizacji tego stylu jest za dużo zniewieściałości”. De legat zakończył: „Trzeba będzie lat, by udało się zatrzeć piękno jakie ulica ta wywarła na naszej modzie”.

Wszystko, co powiedziałem wyżej na temat tej niezwykłej ulicy jest nieodłączne od pojęcia mody męskiej. Sprzedaje się tam również ubrania dla dziewcząt. Ale wygląda to na działalność uboczną. O-

wszem. Tam się urodziła sukienka ażurowa, zrobiona z welnu na drutach, ale tak, by mocno przeświecała. Albo z innego materiału z wzorami kwiatowymi, których znaczne części powycinano. W ten sposób znakomicie jest widoczny podkład, czyli gołe ciało. Niezależnie od tego i innych pomysłów dotyczących mody kobiecej, głównie zajmują się tam mężczyźni. Jeden z dziennikarzy amerykańskich napisał w New York World Journal: „Niewątpliwie głównym motywem Carnaby jest homoseksualizm. Jest tam dużo seksu męskiego. I to tak bardzo przyciąga kobiety. Kobiety łązą tu za mężczyznami robiącymi zakupy. Jest w tym zupełnie odwrócenie zwyczajów stosowanego u Chanel i Diora, że mężczyźni chodzą tam za kobietami. Można sobie o bejrzyć te dziewczęta, jak siedzą upozowane na krzesłach w pobliżu wiszących z ubraniami i obserwują swoje męskie sympatie, gdy wbijają się w portki, które są ciasne w udach, tydkach, pośladkach, albo kładą na siebie obfite są tynowe koszule i krawaty pokające od nadmiaru kwiatów, jakgdyby ród męski wysko-

czył nagle ze swoich tradycyjnych ubrań, by się przemienić w stado hałaśliwych kogutów”.

Carnaby street osiągnęła szczyt powodzenia w roku 1967. Była to wtedy najwesejsza, najbardziej kolorowa i najbardziej hałaśliwa ulica świata. Ale zjawiała się konkurencja. Skoro ten styl się przyjął, również duże, mające tradycję firmy poczęły otwierać w ramach własnych magazynów stoiska z tym co do nie dawna oferowała tylko Carnaby. Wraz z konkurencją pojawił się problem jakości. Na miejsce nastolatków z początku lat 60-tych pojawili się na stolatkowie nowi, wydający pieniądze z zastanowieniem, żądający dobrego jakościowo towaru i taniego. Wówczas właściciele sklepów zawiązali kartel i poczęli wspólnie się zastanawiać nad przyszłością. Jeden z nich powiedział: „Ka żdy człowiek interesu musi o siebie zdawać sprawę, jakie są tendencje w handlu. Jeżeli ma leńka uliczka zdobyła sobie światową sławę, to nie wynika z tego, by miała wciąż być chał w tych samych pomysłach. Trzeba się dostosować do zmiennych wymagań”.

I oto zrodził się pomysł. Któregoś dnia przed jednym ze sklepów powieszono klatkę. W klatce siedziała ładna dziewczyna. Zrobił się znowu tłok jak za dobrych czasów owego pokazu mody w oknie wystawowym. Zjawiała się policja, prasa lokalna i światowa znowu miała o czym pisać.

A oto nowa sensacja. Do biura Johna Stephen ktoś się włamał i skradł wzory przygotowywanej na zimę kolekcji nowych spodni, kurtek, koszul — dwa miesiące ciężkiej pracy, nie mówiąc o wartości samych pomysłów. Ale niestety nie można zastrzec sobie praw do deseni. Kolekcję trzeba było spisać na straty. Ale reklama, jaką był sam fakt kradzieży pozwoliła na szybkie wyrównanie ubytków. Tym niemniej sprawa ciągnęła się dalej. Bowiem złodzieje wyko nali ubrania według skradzionych wzorów i sprzedawali je przed drzwiami sklepu projektanta, nierzadko odciągając klientów.

Zróbmy krótki spacer, po tej krótkiej uliczce, by zorientować się w całości oferowanych tam towarów. Są więc wisioriki i naszyjniki. Kolorowe znaczki z napisami w ro-

dżaju: „Pocałuj mnie” „Kocham cię” itp. Koszule nie tylko te kolorowe do kolorowych krawatów, ale również koszule z portretami Che Gue vary i niektórych popularnych śpiewaków. Carnaby dysponuje mnóstwem wywieszek mających swe odpowiedniki w życiu miasta i nie mających. Charakterystyczne są londyńskie tabliczki z nazwami ulic. Sprzedaje się je jako pamiątki dla turystów. Na Carnaby sprzedano astronomiczną ilość takich tabliczek, co stanowi dowód, że turystów bardziej interesuje nazwa Carnaby, niż Piccadilly, Regent i nazwy innych sławnych ulic londyńskich. Można tu sobie kupić kartę dla okulisty, z wielkimi literami u góry, coraz mniejszymi ku dołowi. Jeżeli jednak karcię tej dobrane się przyjrzeć, to litery tworzą napis, który w tłumaczeniu na polski brzmi: „Zbyt dużo seksu czyni cię krótkowzrocznym”. Plakacik ten o tyle jest istotny, że turysta oglądający te dziwy, zastanawia się, w jakim stopniu seks wkroczył w ten kolorowy świat. I dochodzi do wniosku, że do problemu tego podchodzi się raczej z humorem.

Tej ziemi cena i wartość

„Bo, proszę pana, synowie gina, kiedy nie ma ojczyzny. Tak. Ma pan rację. Wtedy jest to... O! Słuszne! O, tak, jeżeli konieczne. Dobrze to pan powiedział. Jeżeli konieczne. Ojczyzna, mówi pan? A, ojciec i matka? Racja. Wtedy jest to konieczne. Miałem syna. Nie, nie! We wojnę. No pewnie, że pan tylko ze słyszenia. On by miał czterdzieści lat... Zna też... Zabili ją jak była łapanka w mieście. Dobrze, że jej wtedy już nie było. Nie przebaczyłaby. W czterdziestym drugim ją zabili. Ze nie wybaczyłaby? To ja syna zabrałem do lasu. Rok czasu gryzła mnie pamięć. Zemsta, panie najbardziej. Chłopak marniał. Zgryzota nas, panie dobiła obydwóch. Jaka tam gospodarka? Dwie morgi i nasze ręce. To w maju. Na początku lata. Pamiętam jak dziś. Okna już szarzały. Trzeba było, panie, póki jeszcze szaro. Było ciicho. Chłopak jeszcze spał. Za oknem, jak okiem sięgnąć rodziło się nowe. Coś mnie ścisnęło. Tak patrzy i myślę, ty, człowieku, na po niewierkę a świat zieleni się, jakby nic się nie działo. Ech, panie! Jakiś żal miałem i do drzew i do tych małych zbóż... A ty człowieku na nieznane z własnym dzieckiem. Obudził chłopaka, każdy wziął swoje i śmy poszli. Ciężko jest, panie, odchodzić. W nieznane. Pan tego nie wie, panie. Ciężko było mówić. W głowie tylko jedno; co będzie? I pytam chłopaka: Nie boisz się? Powiedział, że nie. Potem go pytam, a nie smutno ci? Trochę — mówi. Mnie też było nija. A czego ci żal, znowu go pytam? Ja wiem, on mówi, wszystkiego. Ale wróciłem... Tak powiedział. Mój ty Boże... Coś mnie wtedy ścisnęło. Trzeba było mi zawracać. Trzeba było. Naszły mnie takie myśli, że zgroza! Idę i chcę wrócić. A jak wrócić, to co, sobie myślę? I tak przez całą drogę. To mi nogi drętwiały, to coś się zacinało w środku, i tak mówię: że-bym ty mógł gdzie zostawić?... Ale kto panie, sierotę przyjmie w taki czas? Nikogo nie było. Psie syny! Bogdań was piekło... Co mi im winne? Tylko, że Polacy! Tylko. Dobrego miałem dzieciaka. Mówi — co mi tam przy waszym boku się stanie! Pewnie, że będę cię chronił. Ale to wojna, mówię. I znowu przestrach mnie zgębił. A jak go zabiją? Nie wierzę, że tak może się stać. Nie wierzę. Żołnierzem byłem. Śmierć widziałem na własne oczy. Ale syna?! Ale mój Boga miał w sercu. I tak się myślę: jakieś, Panie Abrahama na próbę wystawił, tak i mnie próbujesz. W czym Izaak lepszy od mojego dzieciaka? Takie to samo niewinne jak i tamto. Sam nawet chciał do lasu, Bóg przecie widzi. Obaj byliśmy, jeden obok drugiego przy stole Pańskim. Bo, panie, kto z Bogiem sprawę zaczyna, w Bogu ma porękę. Takem się myślał. Wtedy. Teraz... No i, panie, tak śmy szli przez pola, chyłkiem, parowami, aż do lasu. Patrzę na dzieciaka. On patrzy na mnie. Nogi nam same stanęły. I dawaj, chyłkiem w las. Stajemy, słuchamy. Nic. Cicho. Tylko szum po szczytach się nosi. Ale coś się czai. Co krok coś pęka. To chrust. Ale to wtedy tak trzaskalo, że strach. W lesie jeszcze szaro. Brzeźniaki i sosny — pół biedy. Najgorsze to młode świerki i leszczyny. Za każdym może coś być. Aż, jak nie wrzśnie nad głową: stać! Panie, aż mi dech zaparło. Chłopak aż krzyknął — O, Jezu! — Kto idzie? — ktoś pyta. Ja mówię, taki a taki. — Do kąd? — ten znowu. To, ja mówię

— do leśnych. — Po co? — tamten pyta. To, ja mu na to, że tak i tak, że panie, muszę szkopa prac, i całą historię dawaj mu opowiadać. A nie wiem, gdzie on i kto to. A ten znowu: — Skąd jesteś i jak się nazywasz?! To ja znowu, ten i ten, stamtąd i stamtąd. — No dobra. — ten na to i wylazi, panie, taki w baranicy z granatami i stenem i gapi się na mnie. No jazda. — mówi. — Dokąd? — go pytam. — Do leśnych. — on się śmieje. Zbaraniałem. — Przecie, nie wiem, mówię, jak iść, prowadźże ty mnie, człowieku. Ja z tym chudziakiem do oddziału chcemy. On w śmiech: Przed siebie! I śmy poszli. Nie chcieli styścić o małym. Za słaby, za młody i tak dalej. Ale ja mu, a Gniw mu było, takie pseudo. Mnie dali — Ojciec, młemu — Synek. No i ja, temu Gniwowi mówię, gdzie podzielić chłopaka? Sierota to. Ze samiśmy jak te golce. Ze choć małe to, przyda się, choćby i na przeszeptanie takiego wysłać. Zgodził się. I tak zaczęła się nasza wojaczka. Niedługo jej miał, biedaczysko... Już zboża dojrzewały. Lipiec. Po południu szkopy nas otoczyły. Gorąco. Słońce jeszcze wysoko. Niebo czyste, rozżarzone. Każdy się pochował za drzewa jak kto mógł. Patrzę na chłopaka i serce mi pieje. Taki mały a taki wojak. Ech!... Kucnął sobie za taką seką brzoza i nie, tylko patrzy. A ja na niego patrzę i patrzę i się napatrzeć nie mogę. Dali mu stena. Chciało mi się go uściskać za to, że taki. I go uściskałem, panie... Uściskałem na wieki. A ciesz się była taka, że do dziś pamiętam, jak szyska upadła, tom aż zdrętwiał, że już! Człowiek słyszy jak mu serce bije. To strach. E, tam! Jak bym sam, to dzieł się wola. Tak się przestraszyłem wtedy, że musiał przyczołgać się do niego. Słychać już było dudnienie przed lasem. Czolg. Nie zdążyłem... Kiedy podniosłem głowę i ziemia opadła, zobaczyłem... Patrzę, a chłopak chwile się i łapie powietrze. Cała głowa w krwi. Panie... Panie, to... To nie do pojęcia! On na mnie patrzy jednym okiem, bo drugie w krwi i buzię otworzył i wiem, że chce coś krzyknąć, a nie może! I upadł w te mchy. A ja patrzę i w głowie nie chce mi się zmieścić. Nie wierzę. Coś się zaparło we mnie własnego dziecka! To nie moje dziecko, coś mi krzyczy w środku, a wiem, że moje! Po co ja to panu mówię?... Do dziś mam taką kłuchę

w gardle. Jak wtedy. Ani płakać, ani krzyczeć, ani się ruszyć. Leżę i wybaluszam oczy, i nic. Mnie sa mego bolało tak samo. Wiedziałem jaki to ból, ta śmierć. Taki młody... I przez ojca! Zebym szybciej był przy nim. A, niechay, panie, obaj. Raz i koniec. Tak by najlepiej było. W końcu ruszyłem się. Myślałem, że go jeszcze wybronię śmierci. Zgarniałem w garści krew, i... Panie. Człowiek grupieje wtedy. Nic mnie nie obchodziło. Modliłem się do Chrystusa. Błagałem Matkomboske! Dajcie mi syna... Zmarł. Jak się skończyło, Gniw kazał grzebać. Tylko jego jedyne go. Trzeba było wiać. Jedno pamiętam z tego pogrzebu. Któryś tam, już nie pamiętam kto, powie dzał, że Synek zginął za ojczyznę, jak bonater, którą Bóg nam przywróci, żeby ofiary daremne nie były. A Gniw na to: Co by twój Bóg zrobił, gdybyś sam nie walczył! Zakotłowało się we mnie. Nawet-em pacierza nie zmówił. I tak został w lesie. Już nie pamiętam gdzie. Ale, chyba bym nie poszedł tam. Nie. Nie poszedłbym. Ziemia go, panie czi, bo on tej ziemi. W nocy poszedł. Było widno jak w dzień. Było mi wszyst ko jedno. Ja, czy który inny. Tylko mi te zboża szumiały, aż gardło bolało. Widzę, jak on mały był, jak ganiał za mną. Jak szczebiocze... Jak biega za mną, kiedy koszę, kiedy za plugiem idę. To było nasze słońce. Dobrego miałem dzieciaka. Posłuszne i mądre. Dobrze się uczył. Z nieboszczką, tośmy sobie nieraz marzyli, że mo że za księdza, albo za doktora go damy. I zmarnowałem go, panie! Pan nauczyciel, to zawsze o nim mówił — to moje oczko, nie zmar nuć go, bo będzie grzech wielki. At, wojna! Ojciec! Rodzony ojciec go zmarnował! Chciało mi się położyć w te żyta i wybeczeć się, albo złapać kosę i jazda! Aż do upadku. I tak jak-em miał ten karabin w rękach, tak go nachyliłem i dawaj po zbożach. Jakoś mi się lepiej zrobiło. A potem jeszcze gorzej! Bo mi się zdawało, że m ko się złapał i koszę, i idę za pokosem, a żyto mi hurmem zlega, a kosa gra świstem i dzwoni. Słychać już, panie, jak mi naręcza zbo za kładą się, a za mną idzie żona i syn... I znowu żal ścisną i smutek. Sam jużem na tym... Na tym świecie. Ale marzę sobie, żebym choć miał po tym wszystkim takie pole. Na własne. To i łatwiej zapomnieć o bólu. Jak się człowiek naharuje to potem już mu się i myśleć nie chce. Zebym tak na własne. Ale żal nie daje zapomnieć. Gdzie ja się na stare lata przytule? Jak tylko się wojna skończy, tamte morgi dziedzie zabierze. I znowu na poniewierkę. Znikąd i nijak pocieszenia. Bywało, w nocy, kiedy leżałem w lesie słuchałem drzew. A one, zdawało się wyszeptują jakąś skargę. Postępują nieraz ciężko, jakby rozumiały człowieka. To znowu jakoś weselej zaszumią i człowiekowi robi się inaczej. Lżej. I myślę sobie, że syna stracił, ale nie nadaremno. Ze choć młody i tak niespodzianie. Zginął, by mógł kto inny żyć. Prawie do drugiego lata lamata mnie żalność. Kolatał mi się to tu, to tam. Wszędzie było nas pełno. A, były Jakie tam zasługi. Pralim szkopów i tyle. Gniw nas uczył. Mówił o innej Polsce. Judził, panie. A, gadał o ziemi dla chłopów. Nie, same chłopcy, tego — no, rolnicy! Z rękami i bez ziemi. Mądry on był, choć młodziak. Mówili, że nauczyciel. Nikt go o to nie pytał. Manifest? Akurat w starym zamku. W lesie było ciast-

KONRAD FREJDLICH

OŚWIECIM

wiatry tu rozdziobują wypalona ciszę
aż do chrzęstu powietrza w stężeniu pośmiertnym
po grób lotny
ciągniony po wybojach świata
przez wypasione dymy o maści popiołu

a najtrwalsze są włosy
odgarnięte z ziemi i w kok ogromniejące
aż po kopeć nieba
najciemniejszy na brzegach zamkniętych w nekrolog
cztery miliony istnień idąc po obwodzie

jeszcze oddech wstrzymany i zwracany ziemi
co mi czoło osmałi a zamroził wargi
najtrwalszy z wszelkiej sadzy

tatuaż bolesny
wrażony w całą ludzkość
głębiej niż sumienie

bo ta rampa ziejąca
która nie zarośnie
i szyn dwie strużki sączą się z nasypu
w rdzy kałużę
transportów morze martwe
gdzie stężenie potu
metal
w sól
przemienia

no. Niemcy cofali się. W zamku ciemno, duszno, chłodno. Piwnice długie na kilometr chyba. Mądry był ten Gniw. Tak nam, w tym zamku mówi: To zamczysko stare to — Polska. I Polska to nasze brzozy i wierzy i nasze chaty i ta ziemia pokrwawiona. I tak nam opowiada o tym zamku, o tych królach i co tu się kiedyś działo. Ze tak samo jak my, walczący dziady o Polskę, ale my ostatni raz i na zawsze odbijemy szkopom. Tak, panie, mówił. Aż ciarki chodzą po plecach, jak sobie po myślałem o tych duchach. Aha. No, jak to nam powiedział, pokazał taki duży papier i czyta. Jakież to takie było niejasne. Tyle tam takich słów, że człowiekowi się słuchać nie chciało. Chłopaki leżeli. Niektórzy drzemał. Dopiero jak przeczytał o podziale ziemi dla chłopów, wszyscy postawili uszy. Gniw coś domyślał się i pyta: Coście się tak nastroszyli?! Nikt nie odpowiada. Jakby gęby posznurowało. — Co jest do cholery! — krzyknął i do mnie — Ojciec? I mnie też zaparło. Nie mogłem nijak słowa wydusić. Kwaśno mi się zrobiło jakby mi kto w gębę octu nalał. Tak mi tu było uroczyste. Myślałem sobie o kró-

lach co tu chodzili, że jak i oni potrzebny ojczyźnie, a on tu z takimi jakimś. I to kto? Gniw! — Co jest, pytam! — Gniw wskieł się. I wtedy, któryś z ciemnego kąta zaczął bez uszanowania: Coś mi się widzi, Gniw, że z nas tu ktoś wariatów robi. Komu ta reforma da ziemię! A Gniw jakby z ukropu wyskoczył: Czy wy nie rozumiecie, że to dekret! Aż mi się nieprzyjemnie zrobiło. Zeby takiej rzeczy nie znać. — Dekret wam to gwarantuje! — znowu krzyczy. Panie, ja tam nie wiedziałem co to dekret, i co to znaczy gwarantuje! Minę miałem nietęgą, już go chcę zapytać, a on jak nie warknie na mnie: — Co jest, Ojciec? To ja stękam i nijak nie mogę sobie przypomnieć tych słów i mówię, co to jest, ten, tego, jakim się, no, to co czytales? — Co? — on pyta tak po nauczycielsku. No, mówię, mu, ten de... — Dekret! — mówi. — No, mówię i wstyd mnie pali, bo Gniw skulił się jakby go kto w brzuch uderzył i ryczy ze śmiechu. — Nikt nie wie co to jest? — pyta. Wszyscy zamruczeli: No-o-o-o. No i nam powiedział. Ze to rozkaz rządowy. Ze my żołnierze-chłopi mamy ten rozkaz wykonać. I tak dalej. No, że, wy, chłopci, ludzie bez ziemi, ale dla ziemi. I że każdy ma brać. Ze każdy ma bronić jej jak o nią walczył. Ze orać i obsiewać potrafimy, a właścicielami pocujemy się potem. Ze każdy się tego musi nauczyć jak pacierza. Tego, że ziemia jest nasza, chłopów. I tak jeszcze mówi: Ty, Ojciec, masz ręce i serce, i ty masz prawo i obowiązek na to wierzyć, boś zasłużył na to, bo to twoja ziemia, boś w niej swoje pochował. W niej moja krew... Na te słowa ży mi się zakotłowały i wyszedłem na świat. Patrzę na te pola wolne. Na zboża zległe i pognite. Na zbocza jak pożar czerwone od szczawiołów. Czuć było jeszcze spaleniznę. Domostwa popalone. Jakby o ratunek wołały w niebo tymi kominami gołymi. Ziemia jeszcze dudni i stęka. Jak ta matka. Jak rodzicielka. Chora położnica... Ja cię ulecę — przysięgałem. I dziwnie radośnie mi się zrobiło i smutno razem. Dlaczego tak późno? Gdzie moi? Czy im drzewa wyszumia o wszystkim? Czy im szumy powie dza?

No, i tak, panie...



ANDRZEJ GRUN

Wizytówki

W miarę rozwoju stosunków handlowych i kulturalnych z innymi krajami zrodziła się potrzeba prezentacji osiągnięć naszej myśli naukowej i technicznej, naszego przemysłu, naszej historii, naszego dziś i jutra, naszej kultury i sztuki. Organizowane są więc coraz częściej za granicą wystawy informacyjne, obrazujące nie tylko to, co mamy aktualnie do sprzedania, ale mówiące również o życiu naszego kraju w możliwie szerokim zakresie. Dotyczy to szczególnie tych państw, z którymi łączą nas, lub z którymi chcemy nawiązać bliższe, przyjacielskie stosunki. Niezależnie od tematyki tych wystaw, ich skali, i miejsca gdzie się odbywają, łączą je jeden wspólny problem, mianowicie — jak pokazać to, co się chce pokazać.

Problem ekspozycji, plastycznego zobrazowania tematu, który pokonać musi barierę języka i barierę różnic kulturowych. Ekspozycje — maszyny, obrabiarki, tkaniny, książki — mówią same za siebie, lecz trzeba je podać ewentualnemu kontrahentowi w odpowiedniej formie — użyć tu określenia: w odpowiednim opakowaniu. Nie wszystko da się pokazać w formie konkretnego eksponatu: dane statystyczne, bogactwa naturalne, plany perspektywiczne — osiągnięcia architektury itd., itp. trzeba siłą rzeczy pokazać w formie plansz, fotogramów, wykresów, przezroczey, filmów. W każdym przypadku potrzebne są wyobrażenia i ręka plastyka-użytkownika, który scenariusz danej wystawy przekształci w czytelną a równocześnie estetyczną kompozycję plastyczno-przestrzenną. Plastyk bierze na siebie w tym wypadku rolę kompozytora, dyrygenta i ostatecznego dyspozytora. O tych ludziach, projektantach wystaw, pawilonów targowych i tak dalej, nie pisze się niemal wcale. Ci plastycy pozostają twórcami anonimowymi w takim samym stopniu, jak onegdaj anonimowym był twórca ludowy. Nagminnie pomijanie ich nazwisk jest o tyle niesłuszne, że wystawy takie, o jakich mówiłem na początku, są niejednokrotnie jako całość zbliżone bardzo do tych zjawisk i zdarzeń, które w ostatnich latach podciągnięte zostały pod miano sztuki. Barwa, ruchome elementy, światło, często dźwięk, rytm układów graficznych i literniczych, formy nowoczesnych maszyn, kolory tkanin, w sumie tworzą kompozycję o wielkich walorach plastyczno-widowiskowych. Wystawy te są swoistym teatrem, fascynującym niejednokrotnie widowiskiem, nie mówiąc już o tym, że poszczególne plansze i wykresy to samodzielne, autentyczne dzieła sztuki graficznej, takie same, jak plakat, folder, obwoluta książki... Weźmy Targi Poznańskie — jest to widowisko plastyczne dużej próby, wystawy Expo — apogeum twórczości wystawienniczej ściągają nie tylko zainteresowanych eksponatami specjalistów i handlowców, ale turystów w większym stopniu, niż jakiegokolwiek biennale sztuki. Również opisuje się je w kryteriach dzieła sztuki. Takimi też one są.

Wszystkie wystawy, które prezentują nasz dorobek za granicami kraju spełniają jeszcze dodatkową rolę — są wizytówkami naszej kultury plastycznej, naszej grafiki użytkowej, a często również i architektury.

Powyższe uwagi nasunęły mi się w związku z aktualną wystawą w Lipskim Ośrodku Informacji i Kultury Polskiej, która to wystawa jest właśnie taką wizytówką naszego miasta. Ekspozycja nosi tytuł: „Łódź — nowoczesny ośrodek przemysłu i kultury”. Zdobyła sobie ona bardzo pochlebne opinie u gospodarzy i kierownictwa Ośrodka. Projektantem całości ekspozycji jest łódzki plastyk Jerzy Frontczak. Grafikę projektowali i wykonali również pla-

stycy łódzcy: Jerzy Derkowski, Ryszard Kuba-Grzybowski, który jest jednocześnie autorem plakatu, i Andrzej Szonert. Autorami fotogramów użytych w ekspozycji są: Madejski, Maciejewski i Walter. Całość wystawy jest przejrzystym, czytelnym diagramem osiągnięć łódzkiego przemysłu, łódzkiej architektury i życia kulturalnego w szerokim aspekcie. Logiczna kompozycja, celowe powiązanie eksponatów — tkanin i odzieży — z grafiką, z wykresami, z fotosami, danymi statystycznymi, z planami przyszłościowymi sprawiły, że wystawa godnie reprezentowała miasto i wysiłek ludzi. W pełni zasłużyła na pochwałę ambasadora PRL w Berlinie, który dokonując otwarcia oświadczył, że jest to najlepszą, najlepiej zorganizowaną pod względem treści i formy informacyjną ekspozycją polską, jaka dotychczas gościła w Lipskim Ośrodku. Część zasług jest niewątpliwie udziałem łódzkich artystów. O sukcesie wystawy świadczy także fakt, że została ona zaproszona do kilku innych miast NRD.

Całość wystawy podzielona została na kilka działów, wyraźnie zróżnicowanych graficznie, które obrazują: współpracę między Polską a NRD w dziedzinie gospodarczej i kulturalnej, wycinek historii Łodzi, obejmujący walkę proletariatu, okres okupacji i 25-lecie miasta, Łódź dzisiaj — jej przemysł i kulturę i Łódź jutra — jej plany rozwojowe i możliwości przemysłowe i techniczne. Pokazano ponadto obiekty sportowe i ośrodki wypoczynkowe. Pokazano Drukarnię Dzielową — jedną z większych w Europie i novum w naszym mieście — rozwijającą się przemysł elektroniczny.

Ta wizytówka miasta nabrała dodatkowego znaczenia, bowiem jej trwanie zbliżyło się z otwarciem Targów Lipskich. Na marginesie należałoby się zastanowić, czy w dziale omawiającym dorobek kulturalny Łodzi same opi-



Ryszard Kuba-Grzybowski. Projekt plakatu.

sy i zdjęcia są dostatecznie wyczerpującą prezentacją. Czy czasem nie należałoby w ramach tego właśnie działu zorganizować wystawy na przykład tkaniny artystycznej, wystawy projektów tkanin przemysłowych, czy może nawet wystawy grafiki i obrazów. Taki „dodatek” dałby niewątpliwie pełniejszy obraz życia naszego miasta i jego kultury. Warte to chyba przemyslenia i wzięcia pod uwagę przy organizacji następnych tego rodzaju wystaw, które niewątpliwie będą miały miejsce.



HISTORIA WOJSKOWA POLSKI

Pod tym tytułem Wojskowy Instytut Historyczny opublikował w dwóch wersjach językowych — rosyjskiej i francuskiej — obszerny zbiór studiów i rozpraw polskich historyków wojskowości, przygotowany z okazji XIII Międzynarodowego Kongresu Nauk Historycznych w Moskwie. Na tę cenną publikację złożyło się 31 prac. Obejmują one wybrane problemy z dziejów wojskowości polskiej od czasów najdawniejszych do współczesności, a także niektóre zagadnienia szczegółowe. Pierwsza grupa prac dotyczy problematyki dawnej historii wojskowości polskiej: rozpoczyna się studium o znaczeniu badań archeologicznych dla studiów nad wojskowością średniowieczną, po którym występują rozprawy o rycerstwie polskim w służbie obcej i obcym w polskiej w średniowieczu, o artylerii polskiej, o piechocie od XV do XVIII wieku. Osobny cykl tematyczny stanowią tu dwie prace z tematyki kościuszkowskiej, które uzupełniają studia z dziejów legionów polskich we Włoszech i rozprawa o koncepcjach walki narodowo-wyzwoleńczej w polskiej myśli wojskowo-politycznej w pierwszej połowie XIX wieku. Druga grupa prac dotyczy zagadnień wojskowo - historycznych XX wieku aż do zakończenia II wojny światowej. Zbliżają się tu zarówno prace o polskich formacjach zbrojnych w rewolucyjnej Rosji w latach 1917-1920, jak studia o zagrożeniu niemieckim w latach trzydziestych naszego stulecia, wreszcie obszerny cykl rozpraw o różnych aspektach polskiego udziału w II wojnie światowej. Znaleźć tu więc można wnikliwe studium o historycznych aspektach polskiego planu wojennego z 1939 roku, porównawczą rozprawę o możliwościach stron niemieckiej i polskiej we wrześniu 1939 ro-

ku „studium o obronie Warszawy we wrześniu 1939, syntetyczny zarys dziejów polskiego ruchu oporu, studia o udziale Ludowego Wojska Polskiego w II wojnie światowej, roli Polaków w ruchu oporu w innych krajach, zbrojnym oporze miast polskich, wreszcie o poszczególnych operacjach II wojny światowej, w których brały udział jednostki Ludowego Wojska Polskiego. Trzecia grupa prac dotyczy dziejów Ludowego Wojska Polskiego w warunkach pokojowego budownictwa socjalizmu, udziału armii w życiu kraju i jej rozwoju w Polsce Ludowej. Ostatnią grupę problemów tworzą rozprawy o metodologii historii wojskowości, problematyce wojskowej w literaturze pięknej, archiwach wojskowych w Polsce; uzupełniają je artykuły informacyjne o aktualnych pracach badawczych podejmowanych w Wojskowym Instytucie Historycznym.

Piękny ten tom, wydany pod auspicjami zasłużonej placówki naukowo-badawczej, skupił pióra autorów z różnych środowisk historyków: z Warszawy, Krakowa, Poznania i Łodzi. Na szczególne podkreślenie zasługuje udział przed stawicieli łódzkiego środowiska historycznego w tej publikacji: niemal „zmonopolizowali” oni bowiem tematykę średniowieczną, skoro spod ich pióra wyszły pierwsze trzy prace, otwierające publikację. Są to rozprawy (podają tytuły w przekładzie polskim): Andrzeja Nadolskiego „Badania archeologiczne i historia wojskowa Polski wczesnośredniowiecznej”, Andrzeja F. Grabskiego „Rycerstwo polskie w służbie obcej w wiekach średnich”, Wiesława Pusła „Rycerstwo obce w służbie polskiej od początków XIV wieku”.

Wydawnictwo — zarówno tom rosyjski, jak francuski — przedstawia się w równej mierze od strony edytorskiej. Zawdzięcza ją Wydawnictwu Ministerstwa Obrony Narodowej.

J. G.

Institut d'Histoire Militaire — Varsovie: Histoire militaire de la Pologne. Problemes choisis. Dissertations, etudes esquissees. Redaktorzy: Witold Biegański, Piotr Stawicki, Janusz Wojtasik, Varsovie 1970, stron 570 (to samo w wersji rosyjskiej).

Przeszłość i teraźniejszość

„Historię tworzy się na podstawie źródeł” — czytamy na wstępie do równie sławnego, co przestarzałego podręcznika metodyki historycznej. Oczywiście, że nie sposób uprawiać historii bez źródeł, wiadomo jednak dziś dobrze, że złudzeniem jest mniemać, że tworzy się ją tylko na ich podstawie. Już samo postawienie badawczego problemu, uokreślenie poszukiwanych źródeł historycznych, nie mówiąc nawet o historycznej interpretacji, przy której badacz przywołuje zdobyte najróżniejszych nauk społecznych, są uwarunkowane postadą przezeń wiedzą pozahistoryczną, nie tylko w ścisłym sensie historycznym. „Źródłowość” wciąż pozostaje warunkiem historycznego badania, ale nie jest warunkiem jedynym; nie może tworzyć historii bez źródeł, ale nie powstanie ona wyłącznie na ich podstawie: zebranie obfitej nawet kolekcji informacji źródłowych nie gwarantuje jeszcze, że dzieło historyczne, nie wszystkie ze znanych.

które powstanie na jej podstawie, będzie dziełem wyczerpującym badany przez historyka problem. Tak właśnie jest z opracowaniem ważnego zagadnienia, jakim jest stosunek Niemiec do Powstania Listopadowego, które podjął ostatnio Henryk Kocój (Niemcy a Powstanie Listopadowe, PAX, 1970). Interesująca ta książka budzi dwojakie zastrzeżenia. Po pierwsze: szczególna predylekcja autora do zajmowania się problematyką dyplomatyczno-polityczną, uwarunkowana w znacznej mierze pracami jego niemieckich poprzedników, z którymi najślusniej polemizuje, prowadzi do nierównego wyznaczenia różnych rodzajów źródeł. Przewaga dokumentów, źródeł prasowych i tym podobnych idzie w parze z niewystarczającym wykorzystaniem tych źródeł, które stoją na pograniczu historii i literatury. Myślę nie tylko o relacjach pamiętnikarskich, z których Kocój wyzyskał wiele, choć cze, że dzieło historyczne, nie wszystkie ze znanych.

Upominałbym się o wspomnienie Lelewela dotyczące przejścia powstańców przez Niemcy, ale także i nieczęsto wykorzystywane „Mein Leben” wielkiego niemieckiego kompozytora Richarda Wagnera, gdzie autor znalazłby piękny opis entuzjizmu muzyka i jego otoczenia dla polskich wygnańców, którzy znaleźli się w Lipsku. Wier-

Niemcy a Powstanie Listopadowe

ny jednak dyplomatyczno-politycznej koncepcji historycznego badania pozostawia Kocój na marginesie niemal cały ogromny krag materiału literackiego, często dobitnie świadczącego o stosunku poszczególnych kręgów społeczeństwa niemieckiego do sprawy polskiej, niż najskrajniej zebrane informacje cenzurowanej prasy i listy urzędników, skrupulatnie iz-

wielkim nakładem wysiłku odgrzebane w polskich i zagranicznych archiwach. Jest to tym bardziej nieuzasadnione, że był to okres triumfów romantyzmu, w którym literatura miała ogromne znaczenie społeczne, była wyrazem poglądów, nadziei i pragnień setek i tysięcy ludzi. Nie oznacza to, by Kocój nie sięgnął w ogóle do tego typu

materiału, tego nie można po wiedzieć; jedynie za mało go wykorzystał. Chodzi mi o utwory w rodzaju „Polenlieder”, dobrze znane historykom literatury, o wystąpienia i wypowiedzi największych niemieckich poetów epoki — zwłaszcza Heinricha Heinego (pisała o nich niedawno Maria Kofta na łamach „Zeitschrift fuer deutsche Literaturgeschichte”), o

poglądy Bettiny von Arnim i kręgu jej przyjaciół, o czym pisał niemiecki historyk J. Kuczyński (Bettina von Arnim und die Polen, Berlin 1949), o broszurze w rodzaju Carla von Salza „Polen und die öffentliche Meinung” (1832) i wypowiedzi tych zapomnianych już dziś pisarzy, których przypomniał w swej książce Arno Will... Myślę nie tylko o powieściopisarce Fanny Lewald, ale o wypowiedziach Ernsta Moritza Arndta a na wet sławnego później marszałka Helmutha von Moltkego zawartych w jego pracy o wewnętrznych stosunkach w Polsce (1832). Doprawdy nie rozumiem, dlaczego nawet w spisie literatury nie znalazła się u Kocój znana książka St. Leonarda „Novemberraufstand in der Polenliteratur deutscher Dichter” (2 t., 1911-1917). Przecież wszystkie te sprawy wchodzi w krag problemów, objętych tytułem książki...

Zgłaszam też — po drugie — swoje pretensje do interpretacyjnej strony książki Kocój. Nie myślę zaprzeczać, że znacznie posunął on naszą wiedzę o polityczno-dyplomatycznych aspektach sto-

sunku Niemców do Powstania Listopadowego, nie neguję ogromnego wysiłku badawczego w zgłębieniu mnóstwa wypowiedzi prasowych, celem dotarcia do zapatrzywań opinii publicznej. Ale skoro idzie o tak szeroko — i słusznie, że szeroko — zarysowany problem, brakuje mi tej socjologicznej analizy, którą winien wykonać historyk, jeśli pragnie określić postawy poszczególnych środowisk niemieckich wobec sprawy polskiej w latach trzydziestych ubiegłego wieku, ich uwarunkowania i implikacje. Tego wymaga nowoczesne widzenie zadań historyka, który nie powinien ograniczać się tylko do opisywania...

Raz jeszcze powtarzam — nie sądzę, by książka ta nie dawała wielu nowych informacji. Trzeba oddać sprawiedliwość badawczej rzetelności i wysiłkowi autora. Ale na jej kształcie ciążyła przyjęta przezeń zbyt wąska, tradycyjna koncepcja historii, która zaważyła na ukierunkowaniu wysiłku badawczego, a I to właśnie jest głównym mankamentem książki, źródłem jej niedostatków.

JÓZEF GRZELAK

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Miłość na sprzedaż

Napisana w 1894 roku „Profesja pani Warren” poprzeczł Bernard Shaw w wydaniu książkowym przedmowa, w której informuje swych czytelników, że napisał „Profesję”, aby „zwrócić uwagę na fakt, że przyczyną prostytucji nie jest znieprawianie kobiet, ani wyuzdanie męża, lecz po prostu wyzysk, niedocenianie pracy kobiet i przeciążanie ich w sposób tak haniebny, iż najuboższe wśród nich zmuszone są chwycić się nierządu, by się utrzymać przy życiu”. Cenzor teatralny, szczytający się tytułem lorda-szambelana Jego Królewskiej Mości zabronił wystawienia na scenie „Profesji pani Warren”, oceniając sztukę jako niemoralną. Dziś po tym, co czytamy o sprawach erotycznych w „Ulissesie” Joyce’a lub w „Układzie” Kazana (która to powieść, wydana nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego w sierpniu br. zniknęła błyskawicznie z witryn księgarskich), decyzja lorda-szambelana może wydawać się tylko pobożnym uśmiechem. Bądźmy jednak sprawiedliwi i miejmy na względzie, że od szambelańskiego zakazu i opóźnionej z tego powodu ośmiem lat przepierziery „Profesji” upłynęło niemal trzy czwarte dwudziestego wieku, i że z tego samego powodu nie możemy się zgodzić z poglądem Shawa na przyczyny prostytucji, których istnienie i etiologia jest dzisiaj zagadnieniem znacznie bardziej złożonym niż za czasów, kiedy Bernard Shaw pisał swoją sztukę.

Czyżby więc „Profesja pani Warren” była utworem przestarzałym? Bynajmniej. I to nie tylko z powodu niebywalej zręczności, z jaką Shaw dawał wyraz swej demaskatorskiej pasji będącej jedną z cech jego twórczości, i nie tylko z powodu sarkazmu, kpiny i paradoksów, które najdłużej opierają się niszczycielskiemu działaniu czasu. Zastanawiam się, czy nie wydano w Anglii antologii paradoksów, w której znajdują się również znakomite fajerwerki słowne wielkiego kpiarza, jak nazywają Shawa, na czele których powinien figurować ten właśnie z „Profesji”: „Boże, zmiłuj się nad światem, w którym wszyscy zaczęliby robić tylko to, co słuszne i sprawiedliwe”. I sądzę, że jeśli podobna antologia została wydana, to powinna być jak najprędzej przełożona na naszą soczystą polszczyznę.

Ale młodość „Profesji pani Warren” polega przede wszystkim na tym, że w najbardziej nikczemnym i pogardzanym procederze, jaki uprawiają pani Warren i jej wspólnik Crofts, odbija się jak w kropli brudnej wody świat, w którym sprężyną działalności ludzi z pewnych warstw społecznych jest — obłędna pogoń za zyskiem i dra pieżność kupców, lordów, bankierów, przemysłowców i im podobnych.

Słuchając i patrząc na sztukę Shawa w Państwowym Teatrze Powszechnym miałem przed oczami również inną sztukę, która nie

zeszła jeszcze ze sceny tegoż teatru, a mianowicie Arthura Millera „Wszyscy moi synowie” i doszedłem do przekonania, że w zasadzie nie ma istotnej różnicy pomiędzy „działalnością” pani Warren, która zabija moralnie swe podopieczne dziewczyny w domach publicznych (nazywanych eu femistycznie w sztuce: „hotelami”) Ostendy, Brukseli, Wiednia, i Budapesztu, a produkcją fabrykanta broni ze sztuki „Wszyscy moi synowie”, fabrykanta, który nie waha się sprzedawać armii USA głowic z defektami do samolotów, powodując śmierć tych lotników, którzy mieli nieszczęście zasiać przy sterach w takich „latających trumnach”. Bo dewizą i celem życia zarówno angielskich lordów i baronetów, jak i amerykańskich bi znesmenów była i jest zasada: business is business, i cel za wszelką cenę, byle w rękawiczkach! Kto by zechciał dopatrzeć się w tym zdaniu uproszczenia, proszę, niech posłucha uważnie, co mówi Crofts do Wiwii: „Biorę procent od moich pieniędzy jak każdy inny kapitalista. Chyba pani nie przypuszcza, że sam maczam palce w brudnej robocie...” i jeszcze: „Zadna dama ani żaden dżentelmen nie zapomina się do tego stopnia, aby roztrząsać zawodowe interesy zarówno moje, jak i matki pani!”. A już Bernard Shaw musiał mieć niezłą znajomość i pojęcie o swoich angielskich lordach!

„Profesja pani Warren” nie jest więc sztuką tylko o stręczycielach. Kto się przysłucha uważnie wymowie tego utworu, ten nie może nie dostrzec, że jest to sztuka o pogoni za zyskiem, stanowiącą więc tym samym rozległą metaforę czy uogólnienie, jeżeli kto woli. Dlatego przewiduję jej długi żywot na deskach scenicznych teatrów pięciu kontynentów.

W „Profesji” występuje gościnnie w tytułowej roli pani Warren Maria Malicka. Cokolwiek by napisać o sztuce aktorskiej tej wybitnej artystki, byłoby to powtórzenie wyrazów uznania i podziwu, jaki zasłużyła zdobyła w swej karierze scenicznej. Uderza mnie przeciwieństwo — to finezja, z jaką Maria Malicka kreuje panią Warren i z jak nie nasuwającą zastrzeżeń swobodą przechodzi od krańcowych nastrojów gniewu lub fałszywego zgorznięcia do uczuć radości i fałszywej dumy, charakteryzujących tę pełną sprzeczności postać. Integracja artystyczna osobowości, której Shaw dał pochodzenie z tak zwanych nie-



Maria Malicka — p. Warren, Jerzy Przybylski — Crofts

gdyś „nizin”, a wyniósł na wysoki poziom snobistycznej society londyńskich dam i dżentelmenów, jest w interpretacji Marii Malickiej arcydziełkiem sztuki aktorskiej.

Rolę córki, Wiwii, grają na przemian Janina Borońska i Barbara Połomska, z których każda ma odmienną, interesującą koncepcję tej postaci. Barbara Połomska jest chłodna i w zamierzeniu sztywna. Wydaje mi się, że Wiwia jako najmniej udana i wiarygodna postać w tej sztuce Shawa jest zbyte okrutna w stosunku do matki, a

niekiedy wręcz bezlitosna, nawet uwzględniając zasługującą na pogardę profesję pani Warren. Połomska nie próbowała w dostatecznym stopniu złagodzić przypisyanych Wiwii przez autora cech u- sposobienia i była tak, jak tego chciał Shaw, pryncypialna i jednolita od początku do końca. Dlatego bardzo trafiała mi do przekonania interpretacja Wiwii przez Borońską, która kształtowała swoją rolę ze zmienną i delikatniejszą ewolucją uczuć w stosunku do matki i jakby z pewną nieufnością (i słusznie!) odnosząc się do



Grafika

Rys. Daniel Mróz

KORZYSTAJĄC Z UPRZEJMOŚCI P. HELMUTA KAJZARA, KTÓRY REŻYSERUJE „KRÓLA EDYPA” W TEATRZE IM. JARACZA (PREMIERA 24. X. BR.) ODSLANIAMY RĄBEK „TAJEMNICY” INSCENIZACYJNEJ I ZAMIESZCZAMY FRAGMENTY WIKSZEJ WYPOWIEDZI P. KAJZARA PT. „O TRAGEDIIE GRECKIEJ I KRÓLU EDYPIE”. WYKONAWCA TYTUŁOWEJ ROLI P. RYSZARD ŻUROMSKI OFIAROWAŁ NAM SWÓJ WIERSZ ZAINSPIROWANY SZUKĄ, KTÓRY RÓWNIEŻ, WRAZ Z GRAFIKĄ DANIELA MROZA, SCENOGRAFIA W „KRÓLU EDYPIE”, PREZENTUJEMY.

REDAKCJA

„Król Edyp” w Teatrze im. Jaracza

(...) Tragedia stawia pytanie ostateczne, niezrelatywizowane, Teatr musi, jeśli nie chce uciekać się do groteski czy parodii, rozegrać część walki o Absolut w obrębie teatralnej formy. Strukturalizacja biologicznego, psychicznego impulsu w teorii Grotowskiego, obsesyjne przyznawanie się do porażki w zmaganiu z teatralną maską, demaskacja aktora, inscenizatora dają wgląd w tę problematykę, gdzie instynkt wypiera intelektualną motywację i gdzie powracają sensory, by panować w sprawiedliwszej, słusznej formie. Mit grany jest w miejscu do tego wyznaczonym. Tragedia musi być symboliczna. Musi podjąć się próby sprowokowania boga znanego i nieznanego. Prowodyr musi zdać sobie sprawę z racjonalnego niebezpieczeństwa śmiechności, gdy irracjonalnie spodziewa się objawienia. Tragedia działa się będzie w miejscu stałe wyznaczonym. Miejscem objawienia jest marmurowa orchestra, czy z desek zrobiony podest sceny Teatru im. Jaracza.

Tragedia grecka jest jednym z najstarszych, zachowanych w kulturze europejskiej, świadectw instynktu mimetycznego, który przywdziewać ma maski i kostiumy i wypróbowywać na sobie, na własnej psychice i ciele, niegdyś już doświadczone przez ludzką sytuację. (...)

(...) Podobnie staramy się czynić w teatrze. Aktorzy zgodzili się na oczach widzów wypróbować na sobie zadany im los. My, widzowie, możemy uczestniczyć w ich grze. Przyglądać się. Być świadkami, nie tylko mimetycznie odtworzonej akcji mity, ale świadkami materii teatru. (...)

(...) Przystępując dziś do pracy nad wystawieniem tragedii antycznej nie chcę rekonstruować form teatru Grecji starożytnej. Raczej pozwolić zachowanym tekstom, by dopasowały się do struktury współczesnej sceny i form współczesnego teatru.

Najbardziej zmieniła się funkcja i miejsce chóru. Tam, gdzie niegdyś była orchestra, gdzie tańczył swoje stasimony chór, dziś siedzą widzowie. Wyparli chór. Podeszli do sceny, by przypatrywać się aktorom z bliska. (...)

HELMUT KAJZAR

RYSZARD ŻUROMSKI

Wylaniająca się

Panowie i Panie wpatrzni w ofiarę hipnotyzując wzrokiem dzikie zwierzę dla którego ojciec jest tylko rywalem na matkę zaś to zwierzę Pandemos ryczy lecz o ile ofiarą będzie jeden z Panów albo któraś Pani ofiarą zostanie to przyjdzie im z łatwością odegranie roli bowiem wtedy Eneas powróci z oddali aby im i ludziom ich obserwującym przypomnieć Anchizesa kurwę nazwać matką

Wiwił, stworzonej przez Shawa, przez co była bardziej „ludzka”, wzbogacając jednocześnie Wiwię pogłębionym dramatem osobistym. Również Crofts jest grany na zmianę przez Antoniego Zukowskiego, który wywiązał się z zadania bez zarzutu, jednak znalazł się w cieniu wielkiej indywidualności aktorskiej Jerzego Przybylskiego, o którym w tej roli — jak chyba zresztą w każdej — warto by napisać małe studium. Stręczy cię Crofts jest nie tylko postacią odrażającą, lecz także — groźną. Przybylski posiada zadziwiającą zdolność przekazywania najbardziej przerażających treści w sposób na pozór zwykły i prosty, zniżając raczej niż podnosząc głos, ukrywając dopóki to możliwe, zło wieszczę zamiary Croftsa pod nie naganymi manierami dżentelmena, odsłaniając twarz prawdziwego Croftsa jako „pospolitego szubrawca” (tak go nazywa Wiwia), dopiero wówczas, gdy ta haniebna kreatura demaskuje się jak gdyby sama w ataku furii i wściekłości na Wiwię.

W rolach Franka wystąpił Janusz Kubicki demonstrując jak zwykle bogaty warsztat aktorski, lecz przerysowując tę postać przez nadmierne akcentowanie temperamentu. Dublujący tę rolę Lucjan Wiernek trafniej i z naturalnym wdziękiem młodego urwisa kreował Franka jako szelmę i utraciła. Również pastor Gardner miał dwóch wykonawców. O grze Janusza Mazanka można powiedzieć to samo, co o koncepcji roli Franka w wykonaniu Kubickiego. Natomiast Aleksander Fogiel potrafił odtworzyć z nieklamany komizmem pastora Gardnera jako jowialnego sługę bożego, którego grzeszki młodości wprowadzają w śmieszne przerażenie.

Prawdą to często spotykana w sztukach Shawa postać rezonera, następcząca zwykle wykonawcom niemal kłopotów. Zbigniew Niewczas potrafił przełamać związaną z rezonanstwem trudność i stworzył żywą i naturalną sylwetkę bezinteresownego przyjaciela domu pani Warren.

Scenografia Jerzego Groszanga przekazała wiernie styl czasów na przełomie dwóch stuleci. Warto też podkreślić umiejętną dobrą ilustrację muzyczną, opartą na wzorach starych ludowych melodii angielskich.

Państwowy Teatr Powszechny. Bernard Shaw: „Profesja pani Warren”. Reżyseria: Maria Malicka. Scenografia: Jerzy Groszang.

Kanikuła teatralna nie jest, oczywiście, naszym opatentowanym wynalazkiem. Ale to my właśnie wymyśliśmy te dwumiesięczne, a czasem i dłuższe okresy jałowej pustki, bez premier, co najwyżej z jednym pracującym niechętnie teatrem, który gra repertuar tak lekki, jak by ludziom na czas lata odjęto zdolność myślenia. Mogłoby się wydawać, że i gdzie indziej podobne zwyczaje panują, boć przecież prawie wszędzie na świecie jest lato. Ale nie, to nieprawda. Jest jasne, że życie kulturalne traci wtedy na intensywności; nie tak dalece jednak, żeby zupełnie zamierało. Miałem okazję zobaczyć jak to wygląda w Moskwie, a obserwacje te poczyniłem niemal w środku kanikuly.

Nie bez pewnych oporów i obaw wybrałem się do Akademickiego Teatru imienia Wachtangowa. Ale już po pierwszym rozniesieniu się kurtyny stwierdziłem, że obawy te wynikają z krótkiej pamięci, bo znalazłem z reprodukcji dekoracje przedstawienia „Księżniczki Turandot”. Niekiedy z zachwytem i zadziwieniem przytaczamy przykłady o tym, że na Broadway'u niektóre spektakle „idą” po parę lat, że „Pułapka na myszy” Agaty Christie nie schodzi w Londynie z afisza od lat bodaj dziesięciu. Ale mówiąc o tym zapominałem, że premiera „Princessy Turandot” odbyła się w roku 1922 — czterdzieści osiem lat temu! — i że w nie zmienionym kształcie, choć oczywiście z wielokrotnymi zmianami w obsadzie jest grana aż do dni dzisiejszych.

Przedstawienia tego nie da się właściwie opisać, można co najwyżej piętzyć określenia w rodzaju: uroczyste, pełne nieklamane humoru, rozbawiające publiczność do łez. Na kanwie baśni Carlo Gozziego ułożył Wachtangow groteskową sceniczną bliską jakiejś uniwersalnej ludowości, nieodparcie śmieszna, wypełniona rozbawiającą błazenadą, dającą oglądawości do stworzenia aktorskich fajerwerków komediowych. Każde z pokoleń aktorskich nie tylko rozbawiających publiczność (spotykam moskwiaków, którzy oglądali „Turandot” po kilkanaście razy), ale również świetnie bawiących się na scenie, wpisuje w tę partyturę inscenizacyjną swoje treści, uzupełnia ją aktualnymi dowcipami, reaguje na aktualne wydarzenia, z dnia na dzień aktualizuje to widowisko. Odnosiłem wrażenie, że niejednokrotnie partnerzy sami siebie zaskakują nowymi po-

mysłami i dowcipami, nie tak dalece wszakże, aby wypaść z roli. Aktorstwo zresztą zbliżające się w tym przedstawieniu do cyrkowej kłownady, ale nigdy nie przekraczające granicy dobrego smaku — jest tu absolutnie doskonałe: stara gwardia Wachtangowców — Pażitnow, Jakowlew, Grieczenko, Szlezinger i Dunc — wyprowadza na scenie rzeczy nie do opisania: wywołuje długotrwałe ataki konwulsyjnego doprawdy śmiechu. Warto tu dodać ciekawostkę — rolę tytułową wykonuje

tni aktorzy tego akademickiego teatru, m. in. reżyser spektaklu Barancew, Wiera Soszalska i Genadij Zzenow. Sztuka porusza problemy, które — jeśliby sędzić po dyskusjach w prasie — są bardzo ważne i głęboko nurtują społeczeństwo radzieckie. Najogólniej rzecz ujmując mowa jest w niej o konfliktach młodzi — starzy, dzieci — ojcowie, o tym, że ci młodzi zbyt chętnie korzystają z niebezpiecznej łatwości życia, która prowadzi do konfliktów z moralnością i prawem, o tym, że starzy

maturgia radziecka dość żywo odpowiada na tego rodzaju zapotrzebowanie społeczne i w repertuarze prawie każdego teatru jest przynajmniej jedna współczesna pozycja obyczajowo-społeczna, czego naszym przyjaciółom można szczerze pozazdrościć.

Pozazdrościć też można — od czego wyszedłem — organizacji kulturalnego lata. Moskiewska kanikuła teatralna jest dwumiesięcznym festiwalem teatrów terenowych, które przyjeżdżają do stolicy z kilkoma przynajmniej pozycjami repertuarowymi i dają występy gościnne przynajmniej kilku nastodniowe. W pierwszej dekadzie lipca bawiły w Moskwie cztery teatry, a między innymi teatry z Omska i Kijowa, których spektakle oglądałem. Niestety, przesadziłbym, gdybym powiedział, że robiłem to z wielką przyjemnością. A wynika to nie tylko z faktu, że najlepsze sily reżysersko-aktorskie ściągają z całego Związku Radzieckiego do Moskwy i Leningradu (skąd my to znamy?), ale i z tego, że zespoły terenowe prezentują model teatru, który dla polskiego, przyzwyczajonego do nowinek widza, jest już nie do przyjęcia.

Teatr Dramatyczny z Omska wystawił m. in. „Cyrano de Bergeraca” Rostanda. Ten ogromnie tradycyjny spektakl — prawda, że logiczny i solidny warsztatowo — nie mógł się zaleść ani lekkością, ani esprit, ani dowcipem, ani romantyzmem. A przecież bez tych podstawowych cech nie sposób sobie wyobrazić prawdziwego Rostanda. Natomiast na przedstawieniu Teatru im. Franki z Kijowa, który pokazał m. in. dramat swojego patrona „Radi siemiejnogo oczaga” dosłownie przecierałem oczy ze zdumienia. Wprost nie mogłem uwierzyć, że można jeszcze uprawiać tak naturalistyczną, werystyczną wręcz sztukę aktorską, z dosłownością wszystkich wzruszeń, z tak kraciową manifestacyjnością uczuć, z autentycznymi łzami rozmazującymi makijaż itd. Ale byłbym niesprawiedliwy, gdybym nie wymieniał pary świetnych aktorów — Ludmiły Tomaszewskiej i Wiktora Gonczarowa, którzy nawet w obrębie tego stylu stworzyli dużej klasy kreacje.

A na koniec jeszcze jedno wrażenie i jeszcze jedna zazdrość, przywieziona z Moskwy, te tłumy ludzi zapelniające sale teatralne w 30-stopniowy upał! Chciałbym to na co dzień spotykać u nas, na wet w pełni sezonu teatralnego.

MAREK WAWRZKIEWICZ

Moskiewska kanikuła teatralna



Maria Wertyńska — starsza córka sławnego pieśniarza, córka zaś Rajkina, Eugenia gra Zelmę, służącą Turandot.

„Księżniczka Turandot” należy do klasyki — zarówno w sensie tekstu jak i inscenizacji. Z tym co współczesne w dramaturgii radzieckiej zetknąłem się przy okazji premiery „Leningradzkiego Prospektu” Izaaka Szтока w Teatrze imienia Mossowietu. Ta współczesna obyczajowa sztuka znanego dramaturga starszego pokolenia wystawiona została w inscenizacji Anisimowa-Wulfa, reżyserii Barancewa i dekoracjach Parchomenki. Grają zresztą w niej świe-

ideowi i zasłużeni ludzie nie wierzący czasem, wpływu na wychowanie swoich dzieci, nie mogą ich wyrwać spod złych wpływów. Trudno byłoby nazwać „Leningradzki Prospekt” arcydziełem, choćby dlatego, że jest w nim kilka scen wyraźnie zatracających melodramatem, jest to raczej bardzo atrakcyjna, solidna, warsztatowa dramaturgia średniej klasy, sztuka jednak cieszy się ogromnym powodzeniem, a publiczność reaguje w sposób wskazujący na fakt, że problemy są istotne i żywo obchodzące społeczeństwo. Jeśli słuszne są moje zbyt krótkotrwałe, niestety, obserwacje, dra-

MARCIN HERT

Było ich więcej niż stu

Jeszcze wszystko było w rozszepce, czerwone skrawki tekstu, fotokopie zdjęć z pożółkłych gazet i starannie wyrysowane tablice wały się na wylotach gazetami podłódze. Jeszcze brakowało kilka dni do uroczystego obchodzenia rocznicy, gdy nadarzyła mi się okazja zapoznania się z wynikami pracy Zygmunta Pietrzaka. Było to w Muzeum Historii Ruchu Robotniczego. Właśnie zbliżała się 10 rocznica powstania Muzeum i właśnie szykowano wystawę na 25 rocznicę „Wyścigu Pracy”.

Zawsze niezwykle interesująca jest lektura starych gazet. Odnajduje się w niej dawno minione zdarzenia, czasem te, o których się wówczas słyszało, a czasem tylko te, o których uczyło się w szkole. Z młodzieżowym „Wyścigiem Pracy” tamtych lat zetknąłem się w kinie. Zapamiętałem filmowy reportaż w „Polskiej Kronice Filmowej” i dopiero znacznie później poznałem, jak to wszystko zaczęło się i jak rozwijało. Teraz, stojąc przed rozrzuconymi na gablecie fotokopiami, szukam czegoś, co przypominałoby mi ówczesne zdjęcia filmowe z jednej z łódzkich fabryk. Znajduję jednak wiersz Krzysztofa Gruszczyńskiego, do którego rego muzykę napisał Olearczyk. Nie została jednak pieśnią masowa, choć taki był cel jej powstania.

„Była nas stu. A dziś
tysięcznym
szeregom niech przewodzi
pieśń.
Dłonie i serca młode
złączym.
Sława odważnym. Pracy
część”.

Istotnie były ich tysiące. Pierwszy etap młodzieżowego „Wyścigu Pracy” zaczął się 1 sierpnia 1945 roku i trwał tylko miesiąc. Wzięło w nim udział 3 tys. dziewcząt i chłopców z fabryk Łodzi i województwa. Wśród najlepszych była Maria Szymczak — cerowaczka, która wyrobiła 228 proc. normy, był Aleksander Janowski — włóknarz ze 194 proc. nor-

my, był też hutnik z piotrkowskiej „Hortensji” — Ta deusz Adaszek ze 236 proc. normy. 25 listopada 1945 roku w sali kina „Włóknierz” w Łodzi odbyła się uroczystość podsumowania wyników pierwszego etapu „Wyścigu Pracy” i rozdanie nagród. Były to nagrody rzeczowe ufundowane przez Radę Ministrów, związki zawodowe, organizacje polityczne i społeczne. Maria Szymczak otrzymała aparat fotograficzny, który ufundował i sekretarz KC Polskiej Partii Robotniczej — Władysław Gomułka. Inni dostali zegarki, rowery, materiały na ubrania.

Młodym nie o nagrody chodziło. Czuli się oni współgospodarzami odrodzonego państwa i chcieli znaleźć dla siebie najlepszy sposób pokazania tego. Chcieli dowiedzieć, że od nich zależy nie tylko przyszłość Polski, ale i jej teraźniejszość. I pokazali. Bo w rok po miesiącu rywalizacji przyszedł drugi etap współzawodnictwa, w którym uczestniczyło 40 tys. młodych z 4 województw, później był trzeci etap, gdzie rywalizowała ze sobą młodzież z 9 województw, a było jej przeszło 70 tys. To właśnie wtedy młodzi włóknarze wezwali do współzawodnictwa młodych górników, a w Łodzi sukcesy święciła włóknarka — Hali na Lipińska. Współzawodniczyła ona z górnikami z kopalni „Zabrze — Wschód”. Obsługiwała 6 krosien i osiągnęła 179 proc. normy.

„Wyścig Pracy” zmierza do podniesienia wydajności pra-

cy — pisał wówczas „Głos Robotniczy” — do wprowadzenia ulepszeń technicznych, podniesienia warunków kulturalnego życia świata pracy”. I te stwierdzenia nie straciły dziś na aktualności, choć po latach sformalizowania zetemowskiego współzawodnictwa, po jego niemal całkowitej likwidacji odrodziło się ono w 1958 roku w zupełnie nowej formie — odpowiadającej nowym warunkom produkcji.

Dziś młodzi ubiegają się o tytuł Przewodnika Pracy Socjalistycznej, a brygady ubiegają się o tytuł Brygady Pracy Socjalistycznej. W Łodzi jest przeszło 1300 takich brygad, a niektóre z nich tytuł BPS zdobyły kilkakrotnie. Współzawodniczą też między sobą wydziały i oddziały, a w tej szlachetnej rywalizacji chodzi już nie tylko o wyniki produkcyjne, ale i o wyższe kwalifikacje, o pracę społeczną na rzecz zakładu i środowiska, o przykład dla innych, jak dobrze pracować. Bardzo często współzawodniczące brygady są inicjatorami zmian organizacyjnych, zgłaszają cenne pomysły racjonalizatorskie, przyczyniają się do wprowadzenia wielu istotnych zmian technicznych.

W sali wystawowej Muzeum Historii Ruchu Robotniczego na białych planszach zawisną portrety ludzi z tamtych dni. Nachylając się nad fotokopiami znajdziemy nazwiska Jana Truskowskiego, Stanisławy Ichry, Alfredy Karpińskiej, Ryszarda Adameczyka, Aliny Pietrzkówny czy Ryszarda Wojskie-

go. To tylko nieliczni z wielotysięcznej armii młodych odważnych i ofiarnych ludzi, którzy pokazali, że naprawdę są współgospodarzami Polski. Nieliczni, bo oni zaczęli, a za nimi poszły tysiące ofiarnych dziewcząt i chłopców, młodych przodowników pracy, o których pisano w gazetach, mówiono w radio, których zdjęcia wisiały w fabrycznych gablotach. Dziś wielu z nich przechwuje być może w szufladach wytniki ze starych gazet, aby móc przypomnieć sobie i innym tamte pełne chwały lata. I dlatego teraz, kiedy ta uroczystość obchodzono 25 rocznicę „Wyścigu Pracy”, ja ki rozpoczęła miejska organizacja Związku Walki Młodych w Łodzi, teraz, kiedy wspomina się tylko niektórych ludzi, wymienia niektórych nazwiska, to trzeba pamiętać, że jest to święto wszystkich. I tych, którzy będąc członkami ZWM czy OM

TUR przystępowali do rywalizacji i tych, którzy już w szeregach Związku Młodzieży Polskiej kontynuowali ich tradycje, jak też i tych, którzy dziś będąc członkami ZMS ubiegają się o zaszczytne tytuły. Wszyscy oni pracowali dla siebie, bo pracowali dla wszystkich. I chodzą o to, aby było jak najlepiej ludziom, sumien nie pracujących, ludzi z innej ciatywa, ludzi, którym w życiu o coś więcej chodzi niż tylko o formalne wypełnienie obowiązków.

O tym wszystkim myślałem stojąc obok Zygmunta Pietrzaka w Muzeum Historii Ruchu Robotniczego w Łodzi i przyglądając się owo com jego wielomiesięcznej grzebaniny w pożółkłych rocznikach gazet. Wyszła z tego wcale interesująca wystawa, którą właśnie zaczął tać, że jest to święto wszystkich. I tych, którzy będąc członkami ZWM czy OM

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ★ WITOLD SŁOTWIŃSKI — Rewolucja Październikowa a niepodległość Polski.
 - ★ MACIEJ KONONOWICZ — Wyprawa na Węgry.
 - ★ BOGDA MADEJ — Dziedzictwo.
- oraz recenzje, felietony, konkurs, nowela kryminalna.

Treść czasu wolnego

Do niedawna jeszcze zwykło się uważać, że zainteresowanie problematyką czasu wolnego w ZSRR koncentruje się głównie wokół jej aspektów ekonomicznych.

Pewnym odstępstwem od tej tradycji wydaje się być przełożenie ostatnio na język polski praca badawcza Borysa Gruszyna — „Czas wolny I. Już sama metoda zbierania materiału — ankietna sondująca opinię publiczną, zmierzająca do wzbogacenia informacji statystycznych o wiedzę dotyczącą potrzeb indywidualnych i grupowych w zakresie aktywności wolnoczasowej. Drugim, godnym podkreślenia w tej pracy momentem jest położenie nacisku nie na to, jakimi sposobami skracać czas pracy zawodowej, lecz przede wszystkim na lepsze i sensowniejsze „zagospodarowanie” czasu już „uwolnionego”. Nie ma żadnych wątpliwości, — pisze autor — że w walce o przysporzenie czasu wolnego

główny kierunek natarcia winien być skierowany nie na czas pracy, lecz na czas poza pracą, a mianowicie na te elementy, które pochłaniają wiele sił człowieka, nie dając w zamian nic jeśli chodzi o rozwój osobowości”. (s. 10). Harmonijnie koresponduje z tą tezą myśl wyrażona kiedyś przez J. Chłasińskiego: „Historyczna idea socjalizmu nie sprowadza się do sprawy organizacji gospodarczej. W socjalistycznym ideale społeczeństwa zawiera się postulat supremacji wartości społeczno-moralnych nad gospodarczymi. Sens socjalizmu to stworzenie gospodarczej podstawy dla pełnego i swobodnego rozwoju kulturalnego człowieka”. (J. Chłasiński, Współczesne reformy szkolne, a idea narodu i socjalizmu, „Myśl Współczesna”, nr 11/117, s. 418).

W przeciwieństwie do większości autorów zachodnich jakich, którzy upraszczając znaną tezę Marksa (o nadejściu „kró-

lestwa wolności”) przeciwstawia ją czas pracy jako konieczność jedynej rzekomo wolności jaka realizować się może tylko w czasie wolnym, B. Gruszyn prezentuje podejście dialektyczne — czas wolny i czas pracy wzajemnie się przenikają, oddziałują na siebie. Jakość i treść czasu wolnego wzbogacając osobowość ludzką wywołują decydujący wpływ na sferę pracy. Z kolei kształcąca i twórcza praca wyznacza w poważnej mierze sferę przeżyć i działań człowieka w czasie wolnym.

Z takiego punktu widzenia nie do przyjęcia jest żądanie wstępnych w tej dziedzinie rozważań, dwóch skrajnych stanowisk — zarówno „ekonomiczne”, sprowadzające sferę czasu wolnego do regeneracji sił fizycznych i psychicznych w interesie zwiększonej wydajności pracy (ideał homo faber) jak i to, które sprowadza czas wolny do przeważnie biernego konsumowania efektów pracy. Poгляд uznający pracę „nie za decydujący środek rozwoju jednostki, lecz za ostateczny cel jej działalności odwraca rzeczywisty stosunek, stawiając kwestię „na głowie” (s. 131). Tak więc ani sama praca ani też wolno-czasowa konsumpcja nie mogą stanowić celu samego w sobie. Rzeczywiste bowiem rozwiązanie problemu wymaga zdaniem autora przyjęcia marksistowskiej zasady wszechstronne go rozwoju osobowości. Ten właśnie punkt widzenia odnajdujemy w omawianej pracy. Wy nikają stąd oczywiście odpo-

wiednie zadania dla polityki społecznej i kulturalnej państwa socjalistycznego, która nie tylko winna mieć na uwadze zarysowany model wychowawczy, ale także opierać się na dobrej znajomości rzeczywistych występujących potrzeb indywidualnych i społecznych.

Z bogatego, zestawionego w licznych tabelach materiału informacyjnego wynika między innymi fakt istnienia znacznych jeszcze dysproporcji w strukturze czasu wolnego poszczególnych grup i kategorii społecznych ludności ZSRR. Mają one swoje źródło zarówno w grupie przyczyn obiektywnych (nieodstateczna baza materialno-techniczna, niedorozwój usług itp.) jak też i subiektywnych — niski poziom kultury czasu wolnego cechujący niektóre grupy ludności, czy wreszcie nieumiejętność gospodarowania czasem (dotyczy to szczególnie młodzieży). Za pozytywne objawy uważa trzeba stosunkowo znaczny udział w czasie wolnym, działalności społecznej, dokształcania i samokształcenia, jak też i duże zapotrzebowanie na obcowanie ze sztuką (dotyczy to szczególnie teatru i filmu). Problemem otwartym, wymagającym jeszcze wiele pracy i pogłębionych badań jest poszukiwanie najlepszych metod wychowania do czasu wolnego, co zresztą stanowi sprawę równie skomplikowaną także i w Polsce.

1) Borys Gruszyn, Czas wolny — aktualna problematyka, PWN, Warszawa 1970, s. 148.

Listy do Redakcji

PANIE REDAKTORZE!

Nie wiem, jaki cel mają zamiar osiągnąć „Kulisy”, dobierając wypowiedzi ludzi, oczerniających dobre imię nauczycieli, ale jeżeli to ma być sposób podniesienia autorytetu nauczyciela i szkoły, to na pewno nie tędy droga.

Przedstawienie ogółu nauczycielstwa z jak najczarnej strony, chyba temu nie sprzyja. „Kulisy” właśnie tak zrobiły. Podały wypowiedzi tylko jednostronne. Nie wierzę, że by tylko tak! Wypowiedzi były o nas. Skądinąd wiadomym mi jest o jak najlepszej postawie nauczycieli, o ich wielkim zaangażowaniu we wszelkiego rodzaju pracach społecznych, w pracy ze środowiskiem, o ich wielkim oddaniu sprawie patriotycznego wychowania młodzieży, o ich umiłowaniu Ojczyzny.

O ile artykuł „Kłosek z maturami” nie był zamachem na autorytet stanu nauczycielskiego, to na pewno nim się stał po dwu miesięcznej batalii.

Jeżeli „Kulisy” toczą polemikę z „Odgłosami”, to niech to robią tak, aby ofiarą nie padło całe nauczycielstwo.

Nieregularnie czytam „Kulisy”, ale tak się zło żyło, że przeczytałem wszystkie trzy artykuły na temat „Kłosa z maturami” i muszę stwierdzić, że odniosłem niesmak i je stem pełen oburzenia. Myślę, że „Kulisy” drukując wypowiedzi ludzi, którzy doznali urojonej krzywdy ze strony środowiska nauczycielskiego, a takich trudno poszukać o obiektywizm.

Ważymy dla przykładu wypowiedzi pana UR, który zmienia pracę jak rękawiczki, bo nigdzie nie może się utrzymać, który pisze, że zawsze był samotny, wyizolowany. Rachunek prosty: pan UR pracował w trzech szkołach. Zetknął się w sumie z około 120 nauczycielami (tak sam podaje) i wszyscy byli źli. Jedyne pan UR właściwie uczył i wychowywał!

Jestem nauczycielem już od szesnastu lat. Pracuję w szkolnictwie zawodowym. Raz tylko zmieniałem szkołę z powodu zmiany miejsca zamieszkania. Zarówno poprzednia jak i obecna szkoła są naprawdę kombinatami. Obecna zatrudnia około 100 nauczycieli. Nie piję z kolegami, nie biorę łapówek i inni

nie biorą (choć ludzie czasami natrętnie proponują), bardzo ostro reaguję na wszelkie przejawy łamania etyki nauczycielskiej i jakoś nie muszę zmieniać szkoły. Na odwrót, dwóch nauczycieli, którzy łamali zasady etyki nauczycielskiej musiał opuścić szkołę.

Wydaje mi się, że nie musimy być kryształami, ale musimy być uczciwi i solidnie oraz z poczuciem obowiązku i odpowiedzialności, jakie nakłada na nas nasze państwo i nasz zawód, wykonywać naszą pracę. Uważam, że właśnie przeważająca większość nauczycieli, a nie znikomy procent (jak to wynika z wypowiedzi w „Kulisach”), wykonuje swój zawód z pełnym poczuciem obowiązku i troski o jak najlepsze wyniki nauczania i wychowania.

Myślę, że mam pełne prawo tak twierdzić, ponieważ pracuję społecznie w ZNP i znam inne środowiska nauczycielskie na pewno nie mniej od wypowiedzi dających się w „Kulisach”. Dzieci moje i dzieci moich koleżanek i kolegów chodzą do szkoły i ani ja, ani nikt inny z me go środowiska nie nosi łapówek i nie kupuje ocen. Większość nauczycieli naszych dzieci chwalimy sobie i życzylibyśmy, żeby w innych zawodach było tyle uczciwości.

Żaden zawód nie został

tak sponstrowany jak nasz. I nie o obrażaniu się tu może być mowa, a o rozgoryczeniu i żalu. „Kulisy” wśród młodzieży krążą z rąk do rąk i naszą codzienną pracę o podniesienie autorytetu nauczyciela i szkoły będziemy musieli z powrotem rozpocząć od zera.

Nie miałem zamiaru wybielać nauczycieli złych i nieuczciwych. Przeciwnie, jestem sam jak najsurowiejszym wyciągnięciem konsekwencji w stosunku do takich, bo psują nam dobrą robotę i demoralizują młodzież. Nie mam także nic przeciwko piętnowaniu w prasie tych, którzy na to zasłużyli, ale trzeba to robić tak, aby większa część uczciwych nauczycieli nie była dotknięta, aby społeczeństwo nasze nie myślało nielustnie, że wszyscy nauczyciele są źli.

Kończąc, życzylibym redakcji „Kulis”, aby zajęła się sprawami willi, ale nie nauczycielskich, bo ja w nie nie bardzo wierzę. Można to była budowa tylko skromnego domku rodzinnego, który niedługo urosnie do rangi pałacu. Chętnych dorobienia się willi i samochodu zapraszam do waszego środowiska. Nauczyciel i willa — to jakosć dziwnie brzmi. Jeżeli widzieliście ja, to proszę zamieścić w „Kulisach” zdjęcie. Chętnie obejrzę.

Włodzisław Nowicki
Gliwice, ul. Moniuszki 9/5

OBIEKTYW

ARTYSTA TELEWIZYJNY

Któż to jest artysta? Podświadomie każdy z nas wie, o kogo chodzi, gdy pada to określenie. Ale jak zdefiniować? Jak odpowiedzieć precyzyjnie na pytanie: kto to?

Wszelkie definicje artysty są albo zbyt uproszczone, wobec czego nie z nich nie wynika, albo zbyt wąskie, i także nie z nich nie wynika. Pewne sprawy są jednak oczywiste. Artysta to ten, który tworzy dzieła sztuki. I wszystko jedno, czy wykuwa je w marmurze, czy kształtuje w słowie, czy też kojarzy z dźwięków muzycznych.

W określeniu „artysta” zawarty jest także szacunek, pewien wyraz społecznego uznania, nadania wysokiej rangi w hierarchii różnorodnej działalności ludzkiej. Artystom przeciwstawia się pacyfkarzy, grafomanów, rzepolów, słowem tych wszystkich, którzy podają się za artystów, ale nimi — ze względu na brak takich kwalifikacji, jak talent, wrażliwość, pasja twórcza — nie są.

Artystami nie są, oczywiście, także i ci, którzy z tej drogi działalności świadomie, czy nieświadomie rezygnują. Mogą być pozytywnymi pracownikami w wybranym przez siebie zawodzie, mogą być rzemieślnikami, jak to się mówi, o złotych rękach, ale nie przekraczają tej dzwiny granicy, poza którą rozciąga się kraina twórczości artystycznej. Malarz, rzeźbiarz, muzyk, poeta, powieściopisarz, dramaturg, aktor — to rodzaje artystów występujące od tysięcy lat. Charakterystyczne jest, że każdy z nich operuje w oddzielnym, ale jednorodnym tworzywie. Farby nakładane pędzlem na płótno, kamień obrabiany diamentem, cięgi słów wypisywane piórem na papierze, czy własne ciało, jak w wypadku aktora... to właśnie owe tworzywo.

Ale ostatnie dziesięciolecie rozszerzyło krąg rodzajów artystów. Pojawili się na przykład poeci teatru. Sformułował je wielki reformator teatru Anglik Edward Gordon Craig. Twierdził, że twórcą teatru nie powinien być aktor — dramatyzm, ani aktor, malarz, czy kompozytor, ale człowiek obdarzony wszechstronnymi talentami, który potrafi integrować wszystkie środki wyrazu artystycznego stosowane w teatrze.

Taki artysta teatru, zwany także inscenizatorem, jest jak dyrygent, pod którego batutą grają swoje partie różne instrumenty. On to właśnie przyjmuje odpowiedzialność za całość przedstawienia. Nie tylko za pracę własną, ale i za pracę innych ludzi, pod jego kierunkiem.

To novum, polegające na tym, że w przeciwieństwie do tradycyjnych artystów ten artysta nie oddziałuje na twórczość sam i bezpośrednio, lecz w kolektywie i przez kolektyw, znalazło jeszcze pełniejszą bodaj realizację w sztuce filmowej. Przez długi czas odmawiano filmowcowi cech artysty. Ale dziś nikt już nie zaprzeczy, że Fellini, Bergman czy Wajda to artyści. I to artyści na podobnej zasadzie, jak to ma miejsce z artystami teatru.

A artysta telewizyjny? Czy istnieje? Nie umiemy jeszcze na to odpowiedzieć jednoznacznie. Obecnie z telewizją, z pewnością odcieramy się tu i ówdzie o elementy twórczości artystycznej. Z wybitnym aktorstwem, wirtuozerią muzyczną, z talentem pisarskim, czy plastycznym. Ale w stosunku do tego telewizja spełnia w zasadzie funkcję nośnika. Jest jak wielkiad juczny, dźwigający wiozono na grzbiecie ciężary.

A może artystą telewizyjnym jest reżyser? Większość z reżyserów działających w telewizji szuka jednak artystycznych ostróg w filmie lub w teatrze. Sukcesy tam osiągnięte cenili sobie wyżej.

Może wreszcie artystą telewizyjnym jest na przykład profesor Zin, który swoją wiedzę, wybitne zdolności rysunkowe i umiejętność pięknego kształtowania wypowiedzi słownej przetapia przed kamerami w nowe, jednorodne działanie twórcze typowe właśnie dla telewizji? Może — przy wszystkich swoich wadach — Irena Dziedzic? Może Karol Małcużyński?

Tytuł felietonu zapożyczyłem w znak zapytania. I chyba ten znak zapytania przyjdzie nam pozostawić. W telewizji stykamy się z artystami, ale pojęcie artysty telewizyjnego, zwanego integralnie z telewizją, to sprawa jeszcze do końca nie-wyjaśniona. Czy, będzie kiedykolwiek?

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

spektakle tygodnia

Spektakli widzów proś.

TEATR WIELKI			
„Kniaź Igor”	1	1260	100
„Królewna Śnieżka”	1	1260	100
„Faust”	1	1260	100
„Orfeusz w piekle”	1	1260	100
NOWY			
„Księżyc świeci nieszczęśliwym”	1	500	70
„Szkoła kobiet”	1	500	70
„Janosik”	3	1650	80
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę”	1	700	100
„Zemsta”	2	800	57
NOWY — MAŁA SALA			
„Rodeo”	2	200	50
„Teoria Einsteina	3	450	75
„Kariera”	1	180	90
POWSZECHNY			
„Profesja pani Warren”	6	3960	100
„Lizystrata”	1	600	90
JARACZA			
„Jęgor Bułyczow”	2	1028	100
„Wszystko w ogrodzie”	1	453	88
„Każdy kocha Opalę”	1	376	73
„Placówka”	2	880	86

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Widzowie kinowi zauważyli zapewne, że przed kilku laty instytucja rozpoznawcza filmów w naszym kraju, czyli Centrala Wynajmu Filmów zrezygnowała z pewnego bardzo uczelnego i eleganckiego zwyczaju podawania w czołówce daty produkcji filmu, który prezentuje się publiczności. Mniemam należy, że kierowano się tu względami reklamy, która z natury swej woli za chwalać nowości.

Filmowi jednakże zdarza się bywać dziełem sztuki, a w dziełach sztuki zagadnienie historycznego umiejscowienia przedmiotu artystycznego nie jest sprawą nieważną. W krótkiej wprowadzie, lecz niezwykle dynamicznej historii kina świadomość momentu, w którym film powstał, jest niezwykle istotną dla możliwości uczelnego jego oceny. Do banalnie brzmiącej tezy, iż prawdziwe dzieła sztuki nigdy się nie starzeją, w przypadku filmu trzeba dodać przypis o różnorodności jego funkcji kierunkowej myślenia o nim nie tylko w kategoriach estetycznych.

Refleksję tę łącząc z aktualnie prezentowanym u nas filmem Richarda Brooksa „OSTATNI TERMIN”, dziś oglądany prowokuje pochwałę

świetnej reżyserii, która nieco stare kino czyni młodym, zachwyca niezmiernym aktorstwem Humphreya Bogart, frapuje ważkim społecznie problemem, lecz dla większości odbiorców pozostanie przede wszystkim sensacyjną opowieścią o dziennikarzu walczącym z gangsterami.

Podanie do publicznej wiadomości (w czołówce filmu) roku 1932 jako daty realizacji tego filmu przypomina chyba, że „Ostatni termin” powstał w czasach szalejącego maccartyzmu i to, co w swej warstwie społecznej i moralizatorskiej raz! dziś w tym filmie pewną naiwnością, wówczas było aktem dużej odwagi realizatorów.

Film, którego zamierzeniem było ukazanie zależności prasy amerykańskiej od finansjery i osobistości politycznych, posiadających rozliczne związki z przemożnymi gangsterami, film podejmujący problemy moralności dziennikarskiej i w ogóle społecznej funkcji prasy, mógł być wtedy poczytany za wyraz tendencji komunistycznych. Producent filmu D. Zanuck nie dwuznacznie to obaw przed Brooksem przedkładał. Być może właśnie te obawy złagodziły w pewien sposób

wymowę czy interwencyjną drapieżność całego filmu, zdecydowały o tym, że Brooks — scenarzysta i reżyser — popadając w ton moralizatorski, apelował w tym filmie przede wszystkim do uczuć, a włączając w akcję wątek uczuciowych perypetii głównego bohatera, nadał mu nieco melodramatyczne akcenty. Mimo to „Ostatni termin” broni się szlachetnością intencji, odwagą i społeczną, ciągle aktualną, potrzebą dyskusji o zagadnieniu.

Zrealizowaniu zamierzeń Brooksa broniącego wartości humanistycznych w społeczeństwie, które ukazuje, pomimo znakomicie wielki Bogart, aktor osiagający w każdej swej roli wrażliwość, iż jest sobą — człowiekiem z kategorii „mocnych ludzi”, w życiu których jest jednak miejsce na romantyzm i wrażliwość. Zmęczona, pełna gorczy twarz Humphreya Bogarta wyraża poza wszystkim wiarę w siłę marzenia, potrzebę działania, niepoddawania się przeciwnościom świata.

Coś, co w tym filmie, mimo wszystkich, najbardziej chwytają, to owa wyrażona przez Bogarta i Brooksa wiara w człowieka, w potrzebę jego indywidualnego działania, które musi mieć

sens, które musi być przez innych zrozumiane, które musi coś zmienić, choć w filmie „Ostatni termin” gąsna światła reklamujące istnienie dziennika „The Day”, który Hutcheson-Bogart chciał uratować.

☆

W japońskim filmie „INWAZJA POTWORÓW” spotykamy naszych starzych sympatycznych znajomych Godzillę i Rodana czyli ptaka śmierci, które to biedne stworzy miały nas straszyc w fantastyczno-naukowych opowieściach japońskich mistrzów kamery. Choć w „Inwazji potworów” do tamtej pary dodano jeszcze trójgłowego Ghidrorahę więcej na tym filmie śmiechu, niż strachu. Wspomniana już dziś CWF oddala tematu fantastyczno-naukowego filmowi sprawiedliwość, pozwalając nam chociaż dźwiękiem już od lat jedenastu, eliminując tym samym z kwalifikacji gatunkowej członki długi, czyli „naukowy”.

Istotnie, trudno tę kosmiczną budurę obdarzyć określeniem filmu fantastyczno-naukowego pozostała fantazja i to nie najwyższego lotu. To, co najbar-

dziej w tym filmie bawi, to zderzenie supercywilizacji technicznej naszej planety i jeszcze wyższej cywilizacji planety X, w której mieszkańcy pragną zdominować ziemską planetę, na tytulowym monstrum. Stworzenia te bowiem budują i tylko współzucie i podważają wiarę w siłę technicznej cywilizacji, nie mogącej sobie z nimi poradzić.

Jak wiecie niesie, w Japonii zrealizowano już 50 filmów o potworach podobnych do tych, które znamy, a filmy te ogląda się na całym świecie. Pe wnie to i prawda, pozostałoby tylko pytanie, czy ludzie chodzą na te filmy po to, by się bać, śmiać, czy oglądać bajki, które w dawnych dobrych czasach opowiadały dzieciom nianie. Podejrzewam, że w fantastycznych opowieściach słownych więcej było miejsca dla wyobraźni. Skonkretyzowana w obrazie filmowym, choć użyto przy tym na pewno niezwykle bogatego arsenału efektów specjalnych, oddaje klimat fantazji indywidualnej i tylko wyobraźniowej. W tym wypadku słowo ciemnie się staje, ukazuje słabość tego ostatniego.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

„WSPOMNIENIA PRZYSZŁOŚCI”

Tytuł książki jest dziwny, pozornie nielogiczny:

rumuński, czeski, serbochorwacki. W Indiach ukazała się w trzech językach: bengali, marathi i kanarees; wydanie portu-

niemałe kłopoty. Został bowiem przez sąd szwajcarski skazany na trzy i pół roku więzienia i 3.000 franków szwajcarskich



Rysunki skalne na Saharze. Czyżby przedstawiały astronautów?

„Wspomnienia przyszłości”. Jej autor, szwajcarski badacz-amator, trzydziesto- pięcioletni Erich von Däniken na podstawie analizy tekstów Biblii, badań nad mitami różnych ludów, szperania w materiałach archeologicznych, doszedł do fantastycznego wniosku, że w zamierzonej przeszłości ziemię odwiedzili przybysze z odległych galaktyk. U mieszkańców naszej planety ci astronauty, którzy przybyli z dalekiego kosmosu, cieszyli się olbrzymim autorytetem. Oni to właśnie byli bogami. A ludzie w przyszłości mają być do nich podobni osiągając sto pniowo wiedzę, którą bogowie-astronauty już posiadali.

„Wspomnienia przyszłości” stały się bestsellerem. W Niemczech zach. 600 tys. egz. nakładu zostało już rozkupione. Druga książka Dänikena pt. „Z powrotem ku gwiazdom” uzyskała 270 tys. nakładu. Obecnie w przygotowaniu jest następny nakład „Wspomnień”. Radio i telewizja zachodniolemieckie opracowują audycje na podstawie fantastycznych tez Dänikena. W Holandii „Wspomnienia przyszłości” w ciągu zaledwie dwóch miesięcy zostały sprzedane w ilości 30 tys. egz. Książka tłumaczona jest na wiele języków m. in. na

galskie zawędrowało do Brazylii. Badacz-amator Erich von Däniken był z zawodu kelnerem, następnie hotelarzem, ale przede wszystkim interesował się od lat badaniami archeologicznymi i mitami. Przez trzynaście lat podróżował odwiedzając Azję, Afrykę, Europę badając ślady przeszłości. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że bogami, o których mówią stare mity, religie, zabytki, byli goście z odległych światów. I tak np. według uczonego-amatora ludzie z różkami na głowach uwidocznieni na archaicznych rysunkach na Saharze to właśnie astronauty z antenami na swych hełmach. W kulcie Majów znany jest fakt wycinania serca — jak przypuszczano dotąd — ludzom przeznaczonym na ofiarę. Däniken twierdzi, że były to próby transplantacji serca, operacji wykonywanej przez przybyszów z kosmosu.

Däniken znalazł podobno nawet miejsce, gdzie lądowali w swych kosmicznych pojazdach owi astronauty. Twierdzi on, że kosmodrom taki znajdował się na równinie pod Nazca w Peru.

Autor bestselleru „Wspomnienia przyszłości” ma jednak w teraźniejszości

grzywny za pospolite oszustwa i nadużycia.

NOVA SZTUKA SAGANKI

„Fortepian na trawie” — taki jest tytuł najnowszej, szóstej z kolei sztuki dramatycznej 35-letniej Françoise Sagan, autorki m. in. słynnej niedyskrecji pt. „Witaj smutku”. „Jeśli będę miała dobrą prasę — powiedziała Sagan w związku ze swą ostatnią sztuką — wyjadę na Bahama. Jeśli zaś krytyka będzie zła, ukryję się w Normandii”.

Sztukę „Fortepian na trawie” odrzuciły dwa paryskie teatry. Wystawił ją jednak i gra Théâtre de l'Atelier.

W sztuce Sagan występuje sześć osób, dwie kobiety i czterech mężczyzn. Dwadzieścia lat temu, gdy byli jeszcze młodzi, zdrowi i pełni życia spędzili lato w zamku w malowniczej okolicy nad Loarę. Dziś, po upływie lat spotykają się znowu w tym samym zamku. Nie są już tacy jak dawniej. Podstarzałi, znęcani alkoholem i perypetiami życia chcieliby jednak powrócić do dawno minionych chwil, tak jakby nie przemigło tych dwadzieścia lat. Pojawiają odnowić swe wspomnienia i uczucia,

znowu stać się młodymi, wesółymi, zakochanymi i bez trosk. W miejscu, gdzie dawniej urządzali pikniki stał fortepian na trawie, dziś gra tu stary gramofon.

Niestety czasu nie da się cofnąć. Przed laty kapano się w Loarze, dziś z obawy przed reumatyzmem nikt nie wchodzi do wody. Jean-Loup, jeden z bohaterów sztuki, dawniej poeta, dziś jest handlowcem rozmawiającym tylko o sprawach majątkowych. On to ratuje Maud (udzielając gościom piątkę starych przyjaciół) przed samobójstwem. „Na szczęście — mówi Maud, której przecięte żyły zeszły lekarz — mam dość bransolet, by zakryć nimi blizny”. Pomysł powrotu do młodych lat nie udał się. Bohaterowie Sagan są tragiczni w swej klęsce, choć może dlatego właśnie stają się dla widza bardziej ludzcy i bliscy. Ale sztuka Françoise Sagan nie zdobyła uznania krytyki. Recenzenci cierpko wyrażają się o „Fortepianie”. Publiczność także nie jest zachwycona. Według swej zapowiedzi Françoise Sagan wyjechała. Podobno w kierunku Normandii.

V PARYSKIE BIENNALE ANTYKWARIUSZY

W tegorocznym biennale antykwaryuszy odbywającym się w Grand Palais w Paryżu wzięło udział stu trzydziestu wystawców francuskich i kilku zagranicznych.

Dla miłośników starych dzieł sztuki oraz wszelkiego rodzaju antyków biennale jest tym cenniejsze, że eksponaty są do kupienia.

Co znalazło się na tegorocznym biennale? Recenzenci zwracają uwagę na bogatą i niezwykle interesującą wystawę tapiserii. Wystawiono tu tkaniny pochodzące z wieków XV do XVII wykonane w najsłynniejszych warsztatach Francji i Flandrii. Wiele z tych tkanin mogłoby zdobić największe muzea świata. Również za oferowane na sprzedaż obrazy mają wysoką wartość zarówno artystyczną, artystyczną jak i handlową. Antyczne meble stanowią największą ilość eksponatów. Są między nimi niezwykle piękne, niezwykle rzadkie, praw-



Dzieło nieznanego rzeźbiarza greckiego

dziwe unikaty, niektóre z nich mają wartość nie tylko ze względu na jakość wykonania, ale i ich aspekt historyczny. I tak np. zwiedzający mogą podziwiać piękne biureczko należące niedyskrecji do córki Ludwika XV.

Ponadto antykwariusze pokazali niektóre przedmioty artystyczne i zabytkowe z Chin, Indii i starożytnego Egiptu, jak np. statuetki pochodzące z grobowców faraonów. Między różnymi eksponatami można także oglądać rzadką dziś rzeźbę z okresu starożytności Grecji.

Przedmioty wystawione na biennale przeszły sta-

raną selekcję dokonaną przez czterdziestu wybitnych ekspertów. Każdy eksponat przedłożony owej komisji, jeśli w jakimś stopniu budził zastrzeżenia co do swej autentyczności czy wartości, został przez ekspertów zdyskwalifikowany. W ten sposób nabywcy mają pewność, że nie kupią falsyfikatów. Na wystawie np. znajduje się rzekomy obraz Rembrandta. Gdyby był oryginałem kosztowałby milion franków. Ponieważ jednak komisja stwierdziła, że nie jest on pędzla Rembrandta płótno kosztuje tylko 400 franków.

OBRAZ VELAZQUEZA NA LICYTACJI

W londyńskiej galerii Christies w listopadzie br. odbędzie się licytacja jednego z obrazów Velazqueza. „Portret Juana de Parera”. Obraz jest jednym z rzadkich płócien Velazqueza należącym dziś jeszcze do osoby prywatnej. Właścicielem portretu jest hrabia Radnor. Obraz jest w posiadaniu jego rodziny od 1811 r.

Przypuszcza się, że dzieło zostanie sprzedane za cenę miliona dolarów. Ostatnio wystawiony na sprzedaż w tej samej galerii w 1963 roku obraz Velazqueza osiągnął cenę 428 tys. dolarów i oceniany jest jako mniej wartościowy od „Portretu Juana de Parera”.



Whistler: „Harmonia w kolorze szarym i zielonym”.



HASŁO:

„CZYTAJ”

KSIAŻKI ZNIKŁY Z WITRYNY — ORWO-COLOR — PIĘKNY FRAGMENT ŁÓDZKIEGO KSIĘGARSTWA — BIBLIOFIL ZAŁATWIONY ODMÓWNIŁ — MIAŁA BYĆ OAZA KOLEKCJO-NEROW — SERIE WYDAWNICZE „CZYTAJA” — GDZIE TABLICA PAMIĄTKOWA?

Przechodząc codziennie ulicą Narutowicza i od jakiegoś czasu z witryny pod numerem drugim zniknęły książki. Wkroczyła do dawnej księgarni Kazimierza Pawliaka ekipa remontowa — zrobiono tu zakład fotograficzny. W miejsce książek znalazły się kolorowe widoczki z taśmy Orwo-Color. Znowu leikomyślnie przekreślono jakiś fragment łódzkiej tradycji kulturalnej. A przecież w tym niewielkim lokaliku w centrum miasta mieściła się od 1919 roku firma księgarsko-wydawnicza „Czytaj”. Kazimierza Pawliaka, związana przez dziesiątki lat z Łodzią — potem, aż do śmierci, stary księgarz prowadził tu antykwariat...

Nie żyje już od paru lat Kazimierz Pawlak, którego nazwisko na stałe związa-

ne jest z symbolem, hasłem „Czytaj”. Nie żyje już najstarszy łódzki księgarz i wydawca, którego serie wydawnicze popularyzujące wszystkie niemal dziedziny wiedzy do dziś można znaleźć na półkach starych łódzkich domów. Księgarnia „Czytaj” to piękny fragment dzieł łódzkiej kultury nie opisany jeszcze w pełni przez nikogo.

Ocalając od zapomnienia słynnego „Czytają” niektórzy łódzcy bibliofili — Janusz Dunin napisał nawet przed laty cenną rozprawę w kwartalniku Stowarzyszenia Księgarzy Polskich. Próbowali łódzcy bibliofili ocalić także ciągłość tradycji księgarskiej w domu przy ulicy Narutowicza 2.

Niestety. Bibliofili, którzy chcieli utrzymać tu po-

śmierci Kazimierza Pawliaka antykwariat, nie był partnerami do rozmów z urzędnikami wydającymi decyzję. Otwarto tu zakład fotograficzny, choć prawie naprzeciw — po drugiej stronie ulicy taki zakład istnieje. W promieniu niepełna trzysta metrów znajduje się kilka zakładów fotograficznych. Dodano im do towarzystwa jeszcze jeden, zabierając lokal, który od prawie pół wieku związany był z tradycjami księgarskimi i w dawnych Łodzi.

Nie rozumiejąc tej decyzji tym bardziej, że nikt nie może się tłumaczyć, iż „nie wiedział”. Przecież bibliofili zabiegali o ten lokal, starali się o utrzymanie antykwariatu... Załatwiono ich odmownie. A przecież brak nam w Łodzi antykwariatu o takim właśnie modelu i charakterze, jaki planowano. Miały tu być książki i ekslibrisy, stare bibeloty, które nie interesują „Desy”, a przecież są piękne i stylowe, choć nie stanowią wartości muzealnych. Miały tu być silva rerum starożytności księgarskich i nie księgarskich — miała tu być oaza kolekcjonerska, jakiej w Łodzi brak, jakiej w Łodzi potrzeba.

Niestety. Jest zakład fotograficzny kolorowej. Wiem, że tej nierozumnej decy-

zji nie już nie odmieli. Ale przecież Kazimierz Pawlak godzinę jest choćby tablicy pamiątkowej na domu, w którym przez dziesiątki lat wydawał i propagował polską książkę. Zanim Pawlak objął firmę w lokalu przy ówczesnej ulicy Dzielnej 2, była tu niemiecka księgarnia Ulsteina. Od 1919 roku z tej maleńkiej księgarni zaczęło emanować na Łódź polskie słowo.

Janusz Dunin w swojej rozprawce o Kazimierzu Pawliaku przypomina, że „Czytaj” wydał kilkunastotomową serię „Biblioteczki dla Dzieci”, że wydał „Bibliotekę Praw Polskich” — zbiór tekstów ustaw i komentarzy o charakterze wybitnie praktycznym, dostojnym do użytku codziennego, Kazimierz Pawlak opublikował też wiele poradników dla rzemieślników, że współpracował z nim Bystron, Chwistek... Niestety wiele z zamierzeń wydawniczych przerwała wojna.

A poza tym „Czytaj” był przedstawicielem na Łódź takich wydawnictw jak Arct, Krakowska Spółka Wydawnicza, był udziałowcem spółki księgarskiej „Domu Książki Polskiej”, „Księgarni Nauczycielskiej”.

Po wojnie rozpoczął Kazimierz Pawlak działalność

edytorską — jakże wówczas potrzebna — serią charakterystyk literackich „Literatura Polska” oraz serią aktualnych broszur „Polska Współczesna”. Wydał także monografię o bozu w Radogoszczu, w którym — nawiasem mówiąc — hitlerowcy osadzili go już w pierwszych dniach okupacji.

Od początków lat pięćdziesiątych „Czytaj” przestaje prowadzić działalność wydawniczą — prowadzi jednak wypożyczalnię, rozwija dział antykwaryczny. I tak już — aż do śmierci Kazimierza Pawliaka — łodzianie łączyli hasło — symbol „Czytaj” z malarskim antykwariatem w centrum miasta.

Dziś już wszystko historia. Po blisko półwiecznej działalności polskiej księgarni „Czytaj” pozostała tylko czuła pamięć ludzi kochających książki. Nie pozostała żadna tablica pamiątkowa i myślenie, że Towarzystwo Przyjaciół Łodzi powinno o takim skromnym upamiętnieniu postać Kazimierza Pawliaka pomyśleć. To jedno co można i powinno się zrobić — skoro już przekreślono tradycyjną ciągłość księgarskiej działalności w starym domu przy ulicy Narutowicza 2.

JERZY WIDOK

Bez strachu

GRÓB

NIEZNANEJ

STARUSZKI

Ponieważ na grobie jej nie płonie wieczny ogień, ponieważ zatarty już został napis i zardzewiała tabliczka — snuć rozważań o tej zmarłej, nieznanej zmarłej, snuć można raczej w trybie hipotetycznym, warunkowym. Prawdopodobnie zmarła w podeszłym wieku — miała lat siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt, prawdopodobnie ci, którzy w ogóle jej nie znali, usłysawszy od tych, którzy znali ją bardzo źle, że była już w tym wieku, pokiwali głowami, akceptując jej zgon jako w tym już wieku stosowny... Tą właśnie akceptacją odgradzili się od rozpacz, od żalu nawet, ot, stało się to, co stać się powinno, być może na wet niejeden uznał, że stało się dobrze, że wypadek ten potwierdził usłowny, prawdziwy porządek rzeczy. Gdyby zmarł ktoś młody, ten sam człowiek zdobyłby się na odruch sprzeciwu, zdolny byłby powołać się na powołane prawo zmarłego do istnienia. Akceptujemy śmierć jako ogólną zasadę — protestujemy przeciw poszczególnym jej realizacjom. Ot tak jak akceptujemy przyjazd pocłagu o przypisaną porę, natomiast buntujemy się wobec przyjazdu o porę niewłaściwej. Pewien mądry lekarz, gdy narzekalem przed nim na śmierć bardzo starej kobiety, wzruszył ramionami i powiedział: „Cóż, każdy człowiek się rodzi i każdy człowiek umiera”. Objętość wobec śmierci typowej, aprobowanie jej, zadowolenie z niej niemal, to sprawa groźna i błędna zarazem. Ponadto postawa ta wynika z niebywałej za rozumiałości, zakłada, że my, którzy tak mało wiemy o prawach życia, znamy kanony śmierci. Postawa podobna, akceptująca „stosowną śmierć”, stwarza groźbę pozornie racjonalnego, a w istocie skrycie emocjonalnego, w racjonalnych obsłonkach podanego, poszerzenia i zwężania kryteriów „stosownej śmierci”. Nawet ten, który zmierzyl się z własnym strachem wobec śmierci, nie może akceptować śmierci innego człowieka jako naturalnej, to sownej, nie istnieją bowiem w tej kwestii rzetelna wiedza, a granice i pojemność życia przekształcają się gwałtownie w ciągu parudziesięciu zaledwie lat. Kto wie, czy za pół wieku ktoś mądry nie obwinął nas, że pozwalamy umierać ludziom liczącym zaledwie osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt lat?

Istnieją więc wszelkie przesłanki, by podważyć akceptację jakiegokolwiek śmierci — nie przypisujemy sobie roli bogów, czy przeznaczenia — wiemy niewiele — rzec by można, że więcej nie wiemy, niż wiemy. Wydaje się sprawą niebagatelną praca nad przeorganizowaniem zbiorowej wyobraźni i zbiorowej sfery emocjonalnej. Płaczmy, jeżeli płacz uznamy za właściwy wyraz żalu, po tych, po których nikt nie płacze — na każdym cmentarzu niech ktoś stanie przy grobie nieznanej staruszki.

BERNARD SZTAJNERT

Tajemnica nagrobków

Był piękny maj. Detektyw Thomas Hambleton wybrał się z Londynu na weekend do swe go przyjaciela pułkownika Gibbona, który mieszkał w Dorset. Znalazł się od wielu lat, ulu bionym tematem ich rozmów była pierwsza wojna światowa.

W sobotę wieczorem pułkownik niespodzianie zapytał: — Czy podobają ci się rudziki?

— O nieba! — zawołał detektyw — co najmniej od trzydziestu lat nie słyszałem śpiewu rudzika!

— Mój kamerdyner twierdzi, że w tym tygodniu zaczyna śpiewać na cmentarzu. Może byśmy tam zajrzeli?

Cmentarz leżał niedaleko. Poszli spacerować przy świetle księżyca i dokładnie o północy znaleźli się przed ogrodzeniem. Przywitali ich trele rudzików.

— Przejdźmy się boczną ścieżką, zgoda? — rzekł pułkownik. — Ale posuwajmy się cicho, aby nie spłoszyć naszych śpiewaków.

— Ktoś tam jest — zanle pokoił się Hambleton. — Czy widzisz? Tam na lewo od ścieżki dwaj mężczyźni coś przenoszą. Zatrzymajmy ich!

Detektyw krzyknął i zaczął biec. Mężczyźni rzucili ciężar na ziemię, przy ogrodzeniu zatrzymali się na chwilę. Padły dwa strzały, a potem nastąpiła cisza. Gibbon biegł jeszcze przez chwilę i nagle upadł.

— Co się stało? — krzyknął Hambleton. — Zranili cię?

— Nie... potknąłem się o coś, co złodzieje zostawili na środku drogi. Pomóż mi! — Oparł się o ramię przyjaciela.

Z szosy dobiegł warkot oddalającego się samochodu.

— Pewnie ci dwaj uciekają. Zobaczymy, co poruczą. — Detektyw pochylił się. — To jest kamień nagrobkowy, można odczytać napis: „Tu spoczywa Robert Wilder...”.

— Stary Wilder, słynny kłusownik, znalazł go, lubił bażanty — mruczał Gibbon. — Dlaczego chciałeś ukraść nagrobek?

— Nie mam pojęcia... Stuchaj, ktoś jest na szosie. — Hambleton zbliżył się do ogrodzenia.

Był to miejscowy policjant. Zobaczywszy zbliżającego się mężczyznę zapytał: — Czy pan słyszał strzały przed kilkoma minutami?

— Owszem, ktoś strzelał do pułkownika Gibbona.

— Czy jest ranny?

— Nie, lecz przewrócił się o płytę nagrobkową. Trzeba sprawdzić auto, żeby go zawiozło do domu.

Policjant oparł rower o kratę i zbliżył się do pułkownika. — Przychodził pan w samą porę, panie Bowman. Ktoś próbował skraść nagrobek Wildera. — Pułkownik opowiedział przebieg spotkania ze złodziejami.

Policjant oddalił się. Po dziesięciu minutach podjechał stary rolls pułkownika i zabrał niefortunnego amatorów ptasich treli.

Następnego dnia Hambleton wrócił do Londynu i odwiedził porucznika Shotta. — Jak pan spędził weekend? — zapytał oficer.

— Wspaniale. Poszliśmy stuchać śpiewu rudzików i ktoś do nas strzelał. — Hambleton zreferował wydarzenie na cmentarzu. Okazało się, że policja otrzymała podobne doniesienia z różnych miejscowości, w których okradano cmentarze ze świętych kamieni, położonych w ostatnim tygodniu.

— Może to robota jakiegoś maniaka? — zastanawiał się detektyw.

Następnego dnia udał się na londyński cmentarz, żeby porozmawiać z dozorcą. Otrzymał adres przedsiębiorstwa, które wystawiło skradziony nagrobek i poszedł je odwiedzić.

— Nie do uwierzenia, proszę pana — denerwował się właściciel. — Pracuję od czterdziestu lat i nigdy mi się coś podobnego nie zdarzyło. I co dziwniejsze, skradzione kamienie były z tych najtańszych, jakie posiadam na składzie.

— Skąd je sprowadzacie?

— Ten rodzaj kamieni kupujemy u pana Pettlingera, który sprowadza je z Niemiec.

Detektyw pojechał do pułkownika Gibbona i z przyjemnością stwierdził, że przyjaciel

czuje się dobrze. Po śniadaniu udał się do miasteczka, gdzie spotkał policjanta Bowmana.

— Co słychać z naszym kamieniem nagrobkowym? — zapytał Hambleton.

— Dziś po południu ustawia go na dawnym miejscu. Zobowiązał się to załatwić pan Reaven, u którego był kupiony.

Detektyw pojechał do zakładu kamieniarskiego i zadał kilka pytań panu Reaven.

— Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy jest coś niezwykłego w skradzionej płycie nagrobkowej?

— Przede wszystkim to nie jest marmur jakiegoś zwykłego używa się do nagrobków, lecz kamień syntetyczny. Produkują go w Hamburgu, jest tani, ciesz się powodzeniem u niezamożnych klientów. Ale nie mogę otrzymać go w każdej ilości, gdyż sprzedażą zajmuje się tylko jedna firma Pettlingera w Londynie przy Dock Street.

Po tych rozmowach Hambleton wrócił do Londynu i wstał do Pettlingera. Pokazał swój bilet wizytowy.

— Czy przyszedł pan w sprawie kradzieży?

— Tak. Chciałbym wiedzieć, czy pan jest jedynym importem tych płyt nagrobkowych?

— Owszem, chciałem to nie mój pomysł, lecz mojego urzędnika Webera, który pracuje tu od sześciu miesięcy. Był w sierpniu roku w Hamburgu i zainteresowały go te nagrobki.

Sprzedajemy ich dość dużo.

— Chciałbym się z nim zobaczyć.

— To niemożliwe, leży w szpitalu. Ma złamaną nogę.

— Bardzo mnie interesują te płyty z Hamburga i chciałbym je zobaczyć. Czy są na składzie?

— Mam osiem, stoją tam pod ścianą.

— Czy są numerowane?

Pan Pettlinger przyjrzał się płytom. Istotnie, przy podstawach miały wyryte czterocyfrowe numery.

— Jak pan sądzi, czy wszystkie posiadają jednakową wagę? — pytał dalej Hambleton.

— Chyba tak, ale możemy sprawdzić dokładnie.

Okazało się, że trzy płyty były lżejsze. Detektyw kazał odstawić je na bok.

— A teraz proszę o duży miot.

Przedsiębiorca zdziwił się, lecz spełnił prośbę detektwa. Hambleton wziął jedną z trzech płyt, przyglądał jej się przez chwilę, a potem uderzył miotem w podstawę. Z otworu rozbitego kamienia wypadły trzy duże metalowe tubki.

— Dlaczego je tam włożyli?

— Zdziwił się Pettlinger. — Może dla wzmocnienia płyty?

— Nie sądzę. Za tym kryją

sie inne sprawy. Czy mogę skończyć z telefonem? Muszę zawiadomić policję, żeby zbadała zawartość tubek.

— Pan Weber zdziwił się bardzo. Chociaż jest w szpitalu interesuje się pracą. Kazał mi przysłać listę osób, które nabyły kamienie. To jest świetny specjalista, jeszcze takiego nie miałem. Bogaty, ma wspaniałą limuzynę...

— Potrzebny mi telefon — przerwał zniecierpliwiony Hambleton.

Połączył się ze Shottiem i opowiedział o znalezionych tubkach. — Myślę, że to pana zainteresuje. Zdać się, że będziemy musieli złożyć wizytę choremu Weberowi.

Detektyw położył słuchawkę i odszukał Pettlingera.

— Wszystko załatwione. Policja niedługo to zabierze. Może mi pan teraz powie, w jakim szpitalu znajduje się Weber i czy pan ma jego fotografię.

— Leży w szpitalu East London. Fotografuję mam, zrobił ją mój syn. Proszę, oto ona.

Zdjęcie przedstawiało młodego człowieka, który wychylał się z okienka samochodu jakby z kimś rozmawiał. — Dobrze, bardzo dobrze — mruczał detektyw rozpoznając twarz człowieka, który miał znajdować się w Argentynie po ucieczce z Kairu.

— A kto mi zapłaci za płyty? — denerwował się Pettlinger.

— Nie wiem, policja zostawi panu pokwitowanie. — To mówiąc detektyw uśmiechnął się grzecznie, wsiadł do samochodu i pojechał do porucznika Shotta.

— Czy pan sobie przypomina pewnego młodzieńca, który często zmieniał nazwisko? — zapytał Hambleton. — Miał ojca Niemca i matkę Arabkę. Teraz ten człowiek nazywa się Weber.

— Wypędzono go z Kairu za sprzedaż kokainy — uzupełnił Shott. — Szuka go Interpol.

Myślałem, że znajduje się w Południowej Ameryce.

— A tymczasem jest tutaj, w Londynie. Leży w szpitalu, ma złamaną nogę, lecz nie sądzę, aby mu to przeszkodziło w rozmowie z nami. A oto tubki, które znalazłem w płycie.

Porucznik odkreślił przykrywkę. — Jest krystaliczny proszek! Wspaniale! Przekazę tubkę do laboratorium. Jak pan to wykrył?

— To nie było trudne. Jeżeli kradli małowartościowe płyty, musiały one zawierać coś cennego — narkotyki albo diamenty. Wszystko szło dobrze, póki Weber nie miał wypadku. Pettlinger musiał wówczas zająć się dostawą. I zaczęły się kłopoty dla szajki, Weber

otrzymał w szpitalu listę osób, które zakupiły płyty i znając umówioną numerację wiedział, kto kupił płytę z narkotykami. Wysłał swych kompanów także do Dorset, gdzie ich przylapaliśmy — pułkownik i ja.

Przybywszy do szpitala dowiedział się, że przed godziną Weber został zwolniony. Zabrał go przyjaciel pięknym wozem sportowym. Weber mieszkał niedaleko, w Epping. Lecz i tam Shott i Hambleton przyjechali za późno, Weber znikł...

Shott zaalarmował wszystkie samochody policyjne.

Gdy znaleźli się między Loughton i Walthamstow detektyw nagle omdleł. Na szosie stał czerwony Austin, obok niego trzech mężczyzn w cywi-

lu i policjant, którzy trzymali w ręku bloczek.

— Maszyna Webera — rzekł Hambleton — proszę do niej podjechać.

— A to jest Weber, ten z nogą w gipsie! — krzyknął porucznik. — Spieszmy się!

Policjant wyjaśniał, że na tym odcinku postój aut jest zabroniony. Weber tłumaczył, że musiał zatrzymać się, ponieważ boli go noga. Nagle odwrócił głowę i zobaczył Shotta.

— Uciekajmy, szybko! — krzyknął. Lecz towarzysze nie zdążyli uruchomić wozu. Za chwilę mieli kajdanki na rękach.

— I to wszystko z powodu niewłaściwego postoju — mruczał wściekły Weber.

Oprac. A. S.



Lewym okiem

O ILE...

Kogokolwiek by spytał — czy to zakład czy inną instytucję, czy też pojedynczego obywatela, każdy we własnym zakresie (i we własnym mniemaniu) jest idealnie i wszechstronnie przygotowany do pełnienia zadań, które uważa za własne, tylko że mu wszyscy naokoło przeszkadzają. — Mamy świetnych fachowców — mówi przedstawiciel jakiegoś tam przemysłu, na przykład szelkowego. — Możemy produkować milion rodzajów szelek w dowolnej ilości, oczywiście, o ile dostaniemy surowce, nici, dodatki, gumki, sprzączki, ludzi, maszyny, pieniądze, domy, samochody, windy, cacko z dziurką i zegarek z wodotryskiem. Lista wszystkich rzeczy, stojąca po spójniku „o ile”, jest niezmiernie długa i zawsze zabraknie czegoś z tej listy dla wykonania już pierwszego tysiąca szelek bieżących z czarnym szlaczkiem.

Przyczyna zawsze leży gdzieś indziej. Żaden dziennikarz, żaden inspektor nigdy nie dojdzie do prawdziwej przyczyny. Nie ma jej nigdzie, bo wszędzie jest gdzieś indziej.

Byłoby oczywiście znacznie uczciwiej powiedzieć, że jesteśmy przygotowani do produkcji stu rodzajów szelek, razem miliona sztuk, co najmniej po dwadzieścia tysięcy jednego rodzaju, z trzymiesięcznym termi-

nem realizacji. Lżej by nam się wszystkim oddychało, gdyby za takim oświadczeniem nie było już żadnego „o ile”.

„Jesteśmy gotowi!” — to powinno znaczyć: mamy zabezpieczone moce produkcyjne, zawarliśmy odpowiednie umowy z kooperantami i potrafimy je wyegzekwować, zorganizowaliśmy się tak, że każdy z wariantów portfeli zamówień, jaki da się pomieścić w naszej ofercie, jest naprawdę realny i będzie realizowany.

Ba, niechby ktoś odważył się na takie uczciwe oświadczenie! Na niefortunnego deklaranta posypią się natychmiast ciężkie gromy ze wszystkich „szczęśliwych”, ruszy tyraliera pras, zaczną się tysiączne magły i dociskania. Jak to sto rodzajów? A jak handlowcom z Peciina podoba się rodzaj sto piętnasty, hurtownikom ze Słupska rodzaj trzysta drugi, a detalistom z samej stolicy dopiero tysięczny, bo skoro w Paryżu na Pchlim Targu można dostać, to dlaczego w naszej Warszawie nie?

Dlaczego po dwadzieścia tysięcy? Taki piękny wzór ma nie być produkowany tylko dla takiego marnego glupstwa, że zamówiono go dwieście sztuk? No to co ze seryjną produkcją? A cóż to konsumenta obchodzi, jeżeli chce konsumować właśnie ten wzór a setki innych konsumować nie zechce? Nasz klient, nasz pan!

Dlaczego tylko milion sztuk? A jeżeli chcemy w tym roku „rzucić na rynek”, czy raczej zapchać do hurtowni trzy miliony, a za rok odpocząć i nie kupić ani jednej sztuki? Przemysł jest po to, żeby produkować to, czego chce handel. Pan to musi zrozumieć, panie dyrektorze...

Dlaczego za trzymiesięcznym zamówieniem? Przez trzy miesiące państwa powstają i giną, mapa się zmienia, a szelki wciąż te same? Częściej zmieniać, skrócić okresy, uelastycznić produkcję!

To są wszystkie argumenty nie do odparcia i podane w środkach masowego przekazu łatwo zyskują poklask. Szelkowi dyrektor wychodzi z konferencji jak niepyszny, kolega przestaje mu się kłaniać, za to dyrektora od podwiązek fotografuje się przez pewien czas i stawia za wzór. Dyrektor od podwiązek oświadczył bowiem, że dostarczy absolutnie wszystko, czego ktokolwiek zapagnie, tylko że handel nie potrafi żądać.

A, skoro tak, to chwileczkę! Handlowcy, siedzący w branży od lat, całkiem dobrze wiedzą jakie są granice realności ich żądań. Lżej by się wszystkim oddychało, gdyby ktoś uczciwie stwierdził i bez kokieterii powtórzył to wszystkim zainteresowanym na przykład prasie, że podwiązek może się znaleźć na rynku pięćdziesiąt rodzajów, że wybiera się najlepsze z możliwych, a sposób dokonywania wyboru ciągle się ulepsza, że pięćdziesiąt to dużo, że są wśród nich całkiem ładne — ot, prosimy zwrócić uwagę na praktyczne i eleganckie „bajaderki” lub ciepłe i wygodne „emerytki”. Skoro jednak zaczynają się natychmiast poszturchiwania i złe miny: co to za handel, co nie umie żądać! Nie zna potrzeb! Nie dąży do ich zaspokojenia! Klajstruje ugodę z przemysłem — no, to...

Koniec felietonu. Gra toczy się dalej. Ktoś mówi: wszystko bym ci dał kochany konsumencie, ja wiem, światło na rynku, buble na rynku, braki na rynku — potrafisz przecież handlować, tylko doproś się nie mogę, taka to i współpraca z przemysłem! Wszystko będzie w sklepach, o ile...

Ktoś inny mówi: nie znają potrzeb, nie wiedzą czego chcą, mogą dać wszystko, co zechcą, wszystko potrafię zrobić, oczywiście, o ile...

I obydwaj wychodzą z konferencji zadowoleni, uśmiechając się do siebie.

CWIEK